TYDZIEŃ

NR. 1(77)
ROK III

4.I.1948
CENA 25 ZŁ

ILUSTROWANE PISMO TYGODNIOWE



ZAKOPANE — GIEWONT

DZIŚ w NUMERZE: TRYGVE LIE, SEKRETARZ GEN. ONZ—„O TRWAŁY POKÓJ". ZIMA W SCAPA FLOW. V1 LECĄ NA LONDYN. NA URLOPIE W GÓRACH. ŻUBR URATOWANY I INNE.

Z szerokiego świata



Brytyjski premier Clement Attlee odbiera oznakę tytułu honorowego doktora z rąk kanclerza w dniu obchodu rocznicy założenia uniwersytetu londyńskiego



Rodzeństwo łyżwiarzy. 18-letni John Nick i jego 15-letnia siostra Jennifer, która już przed 7-miu laty wygrała puchar łyżwiarski



Karnawał rozpoczęty! Siedmioletni galant prosi damę do tańca



Po raz pierwszy w dziejach konserwatorium paryskiego słynnym jego zespołem dyryguje kobieta. Jest nią słynna muzyczka p. Ann Kullmer



Jakow Iljin — malarz na porcelanie w fabryce „Proletariusz" w okręgu nowogrodzkim uprawia swoją sztukę od 56-ciu lat



Nie tak to łatwo zagrać na rogu kiedy się ma 5 lat!



„Trzej Królowie składają hołd Boskiemu Dzieciątku" — najwspanialszy obraz p. Veronese (2,05 m. wysok., 4,48 m. szer.)

TRYGVE LIE
Sekretarz generalny O. N. Z.

MOŻLIWOŚCI OSIĄGNIĘCIA TRWAŁEGO POKOJU W NASZYCH CZASACH

DR. ARTUR H. Compton, wybitny naukowiec i autorytet w dziedzinie badań nad fizyką jądra atomowego, wyraża ostatnio zdanie, że świat mógłby uniknąć okropności wojny na zawsze, gdyby udało mu się nie dopuścić do niej w ciągu najbliższych lat trzydziestu.

Musimy uważać to za rzecz bardzo pocieszającą, że jednostka tak wybitna i tak dobrze zorientowana, jak dr. Compton liczy się z ostatecznym i zupełnym wyeliminowaniem wojny jako realnej możliwości. Jest to dla nas ulgą w epoce pełnej niebezpieczeństw widzieć ludzi o szerokich horyzontach, którzy mają szczere przekonanie, że „pokój naszych czasów" może być czymś więcej, niż przejściowym marzeniem. Zresztą za dużo już było mowy na temat przyszłej wojny z określeniem niemal dokładnych jej terminów. Są ludzie pozujący na politycznych realistów, którzy zdają się wierzyć w możliwość wojny w najbliższym czasie, gdyż ziemia, że tak powiem, jeszcze nie ostygła po ostatnich wstrząsach. Rozumują oni najwidoczniej w ten sposób: załatwimy tę całą sprawę teraz, kiedy i tak nią zajęci jesteśmy, zanim spróbujemy zorganizować się na nowo. Są to zwolennicy tak zwanej „wojny zapobiegawczej", „czyli wojny dla zapobieżenia wojnie". Są oni zwolennikami utrzymania uświęconego „status quo" za wszelką cenę. Wydaje im się, że cel ich, którym jest niepewny pokój, usprawiedliwia użycie siły jako środka.

INNI bardziej powściągliwi, ale również rozumujący przyjmują filozofię fatalistyczną, że wojna jest złem nie do uniknięcia, złem więc nie grożącym, czymś co zawsze było i będzie klęską ludzkości. Myślą oni okresami pięciu, dziesięciu lat, najwyżej jednej generacji pokoju, opierając swój pesymizm na mniemaniu, że różnice narodowe, polityczne, socjalne, ekonomiczne i ideologiczne nie dadzą się pogodzić i że wszelkie próby uzgodnienia ich na drodze pokojowej, czy też narzucenie „status quo" przez konflikt zbrojny jest jedynie tylko wstrzymane przez proces „odkarmiania się i leczenia ran przez narody doprowadzone do stanu zupełnego wyczerpania drugą wojną światową. Należą oni do tej szkoły myślicieli, którzy uważają pokój jako wytchnienie, nabranie oddechu przed następną wojną. W ich rozumowaniu wojna jest stanem normalnym, a trwały pokój rzeczą nie do pomyślenia.

Wydaje mi się, że dwie są odpowiedzi na te różne poglądy: **Pierwsza:** żaden okres wytchnienia, krótszy, czy dłuższy, nie może mieć realnej wartości, o ile nie ma trwać zawsze.

Druga: Nie ma takich nieporozumień między narodami, których by nie można rozstrzygnąć drogą pokojową i nie ma takich zadrażnień, któreby mogły być uznane za dostateczną przyczynę wywołania wojny.

NIE uprzedzając odkryć następnego dziesięciolecia lub najbliższej generacji możemy powiedzieć, że przyszły konflikt będzie znacznie bardziej zabójczy i niszczycielski, niż wszystko, co dotychczas człowiek widział lub mógł sobie wyobrazić. Wiemy, że wojny dziś, czy jutro byłyby czymś więcej niż może znieść ludzkość, wiemy również, że możliwości niszczycielskie będą z każdym rokiem straszniejsze. Naukowcy mówią nam, że prowadzenie wojny przez naciśnięcie kontaktu będzie rzeczą wykonalną jeszcze w okresie naszej generacji; nie potrzebujemy nad tym faktem wysilać swojej wyobraźni.

Pierwszym warunkiem trwałego pokoju jest uświadomienie sobie przez wyszystkich ludzi, że „trwałość" pokoju jest tym minimum, którego oni muszą obecnie pragnąć i wymagać. Będzie wtedy o wiele łatwiej zrobić krok następny, którym jest: zaspokojenie pierwszych potrzeb i zupełne załagodzenie spraw. Łatwo jest wykazać, że nie jesteśmy w stanie zapewnić najprymitywniejszych nawet potrzeb naszym narodom w zakresie wyżywienia, mieszkania, opału, ubrania, nie mówiąc o normalnych przyjemnościach życiowych ludzi, o ile rządy tych narodów nie skoncentrują wszystkich zasobów energii i możliwości w rozwiązaniu tych zagadnień podstawowych. Zarówno naszą codzienną ciężką pracę, jak nawet drobne okruchy naszej inteligencji i pomysłowości, całą pracę naszych istniejących fabryk i tych, które możemy uruchomić, każde pole, które możemy pozyskać dla uprawy musimy zmobilizować teraz, aby narodom świata zapewnić słuszne, ludzkie warunki, do których każdy człowiek ma prawo. W obecnej chwili jest faktem rzucającym się w oczy i nie podlegającym dyskusji, że żaden z narodów świata nie poświęca pełni swych wysiłków i myśli tym zagadnieniom ozdrowienia i odbudowy. Wszystkie narody i te, które nadal utrzymują kompletną swą suwerenność i te liczne, które nie korzystają z pełnej swobody działania, wkładają ciągle wysiłki i pieniądze w rzeczy tak nieprodukcyjne z punktu widzenia ubrania, wyżywienia, czy opału, jak karabiny, tanki, samoloty, rakiety i inne narzędzia zniszczenia. Narody świata, nie dlatego utrzymują i doskonalą swe zbrojenia, ażeby stać się w przyszłości zbiorowiskiem zorganizowanych napastników; jeżeli przyjmiemy tolerancyjny punkt widzenia, możemy dowieść, że przeważna część państw stale wydaje pieniądze na zbrojenia i materiał wojenny z powodu prawdziwych i poważnych wątpliwości, tak co do własnego bezpieczeństwa, jak i bezpieczeństwa słabszych, bezpośrednich sąsiadów lub sprzymierzeńców.

OTO punkt zasadniczy: każdy kraj, zbrojąc się, dopuszcza wojnę jako rzecz do przyjęcia, a w każdym razie jako możliwość dostatecznie realną, aby być przygotowanym na zetknięcie się z nią. A to nie może odpowiadać, jak właśnie starałem się wykazać, tej trudnej rzeczywistości dzisiejszego świata.

Trudności nasze, częściowo przynajmniej powstają z przyzwyczajenia. Nasza generacja przeżyła dwie wojny światowe. Dlatego możemy być wytłumaczeni przyjmując wojnę, jako rzecz, która się mogła zdarzyć. Ale myślę, że nie będziemy mogli być wytłumaczeni, jeśli nie zmusimy się do otrząśnięcia z siebie tego niebezpiecznego przyzwyczajenia myślowego i nie wbijemy w zbiorowy mózg ludzkości przekonania, że wojna **nie może się w przyszłości powtórzyć.** Z jednej strony głosić hasła pokojowe, a z drugiej gromadzić środki wojenne, jest to doprawdy pozbawione sensu. Ale znowu trudno się spodziewać, że wszystkie mocarstwa zaprzestaną zbrojeń, chyba, że to nastąpić by jedynie mogło na podstawie ogólnej zgody uczciwie, szczerze, bez obaw oszustwa z jakiejkolwiek strony.

Takie wyrzeczenie się wojny nie w słowach, ale w rzeczywistej praktyce nie może się dokonać, o ile nie będzie ono poparte szczerą ogólną wolą tak ludów, jak i ich kierowników politycznych. Jednym z naszych naczelnych zadań musi być wytłumaczenie wszystkim ludziom świata, że wojna jest obecnie niewykonalną, samobójczą i w okrótny sposób bezsensowną. Musimy wbić w świadomość ludów przekonanie, że: nigdy żaden z narodów nie odwoła się do wojny.

DRUGIM pojęciem, które musimy rozwijać i popierać tak przez demonstrowanie praktyczne, jak i przez czynniki wychowawcze jest propagowanie tej prostej, a często zapomnianej prawdy, że każdy z międzynarodowych problemów może być w sposób trwały rozwiązany na drodze pokojowej, a nie może być w żadnej mierze rozwiązany zadowalająco, nawet na czas krótki drogą zadanego gwałtu. W O.N.Z. i organizacjach pokrewnych musimy w dalszym ciągu rozstrzygać zagadnienia w duchu dobrej woli i kompromisu, nawet gdyby to wymagało poświęcenia zasad karty O.N.Z. Państwa należące do O.N.Z. załatwiając wzajemne nieporozumienia muszą być przygotowane na to, że trzeba nie tylko umieć brać ale i umieć dawać, oraz unikać wywołania wrażenia, że sprawiedliwość może być ograniczona pojęciem korzyści. Wychodząc z założenia, że utrzymanie powagi i prestiżu O.N.Z. jest podstawą bezpieczeństwa i pomyślności, tak wspólnoty narodów jak i każdego z poszczególnych państw, musimy decyzje organizacji osiągnięte na zasadzie prawidłowej procedury i prawa narodów zjednoczonych przyjmować przychylnie i karnie. Organizacje takie, jak Komisja dla spraw Ekonomicznych w Europie, oraz Komisja dla spraw Ekonomicznych Dalekiego Wschodu muszą współpracować efektywnie w zakresie odbudowy, uporządkowania i zagospodarowania tych obszarów. Poszczególne kraje również i w tym wypadku muszą sobie uświadomić ten fakt, że zbiorowy wysiłek jest jedyną prawdziwą drogą, wiodącą do bezpieczeństwa, zarówno dla potężnych i silnych, jak i dla słabych i zależnych.

STARAJĄC się wykazywać celowość zbiorowych wysiłków przy rozwiązywaniu zagadnień politycznych, ekonomicznych czy socjalnych, musimy jednocześnie wskazywać pamięci ludzkiej na rezultaty innych burzliwie krwawych metod, które miały rozwiązać światowe problemy. Stałe rozpowszechnianie pewnych obrazów z Niemiec, może okazać się w tym względzie skuteczne.

Jeśli myślimy kategoriami rozkładów jazdy, może być dla nas dobrą gimnastyką umysłową zrobienie takiego rozkładu ulepszenia świata. Możemy zapytać: „Kiedy analfabetyzm zniknie z danego kraju?" „Kiedy mieszkańcy tego czy innego kraju otrzymają wyżywienie kaloryczne, umożliwiające im życie i wydajność pracy". „Kiedy niepotrzebna klęska malarii będzie opanowana w tropikalnych krajach, gdzie jedna osoba na pięć jest nią dotknięta".

„Kiedy będzie dosyć mieszkań i odzienia w danym kraju?"

„Kiedy te pustynie, o których tak wiele słyszymy będą mogły nareszcie zakwitnąć pod zbawczym wpływem taniej energii atomowej?"

I na końcu mogę dodać, jako najważniejsze pytanie, na które musi być odpowiedź:

„Kiedy ludność świata przestanie myśleć kategoriami wojny, a zacznie myśleć kategoriami pokoju, przyjąwszy bez zastrzeżeń przekonanie, że wojny nie będzie już nigdy?"

(The Rotarian — Chicago)



Ola A. — redaktorka gazetki ściennej w pawilonie dziecięcym.

A. WOŹNICKA

LUDZIE PRACY LECZĄ SIĘ W SANATORIACH

Z głośnika radiowego płynie lekka melodia taneczna.

Ogarnia mnie zdziwienie. Jak to. Czyż tutaj może być tak wesoło. Czy przebywający tutaj ludzie mogą słuchać skocznych piosenek. A może to pomyłka. Może to nie sanatorium Ubezpieczalni Społecznej dla gruźlików w Tuszynku, lecz jakiś dom wypoczynkowy. Ale nie — to nie pomyłka. W drzwiach wita mnie dyrektor Sanatorium, dr Jerzy Zaleski i prosi o przejście z korytarza do gabinetu.

— Panie doktorze — zapytuję — czy muzyka nie przeszkadza chorym?

— O wprost przeciwnie, odpowiada z uśmiechem dr Zaleski. Jest Pani w błędzie, sądząc, że u nas panuje tylko termometr, sala zabiegow i łóżka. Nasi chorzy prowadzą bardzo urozmaicone życie kulturalne. To jest pierwsze wskazanie lekarskie — oddziaływanie na psychikę pacjenta, wyrwanie go ze stanu przygnębienia spowodowanego świadomością poważnej choroby. Całe nasze sanatorium jest zradiofonizowane , ponadto zaś istnieje cały szereg innych rozrywek, o których zaraz się Pani przekona. Może Pani włoży płaszcz — pójdziemy zwiedzić sanatorium.

Ciągle muszę się dziwić. Po co mam kłaść płaszcz.

— Jest mi ciepło i budynek jest zdaje się dobrze ogrzany, więc płaszcz nie będzie mi potrzebny.

Dr Zaleski spogląda na mnie z pobłażaniem.

— Proszę Pani, nasze sanatorium to nie jest jeden budynek, to prawie miasto - ogród — mówi żartobliwie.

Rzeczywiście. Wychodzimy z domu wprost do pięknego lasu. Z daleka przez pnie drzew z tej i tamtej strony widać białe budynki.

— Panie doktorze, proszę mi coś powiedzieć o historii i rozmiarach sanatorium, zanim rozpoczniemy właściwe zwiedzanie.

— Sanatorium w Tuszynku powstało w r. 1926. Inicjatorem jego budowy był dr Lucjan Szuster, wicedyrektor Ubezpieczalni Społecznej w Łodzi, zamordowany przez Niemców w roku 1944. Sanatorium nasze zostało więc nazwane od jego nazwiska: Sanatorium im. Dra Szustra. W pierwszym etapie zbudowano dwa pawilony, w których obecnie mieszczą się oddziały: dziecięcy i dla młodocianych.

Przed wybuchem wojny w latach 1938/1939 wybudowano następne dwa pawilony. W nich znajduje się dział dla dorosłych oraz część administracyjna, a więc kuchnia, pralnia, magazyny itp., ponadto zaś pokoje zabiegowe, sala operacyjna, rentgen, laboratorium. Niezależnie od wymienionych pawilonów mamy dwa budynki przeznaczone dla personelu oraz inne zabudowania gospodarcze. Kompleks tych zabudowań położony jest w lesie o powierzchni 160 ha.

Powracając do historii sanatorium dodać należy, że w okresie wojny zajęte ono zostało przez Niemców, następnie po odzyskaniu niepodległości — wobec dewastacji w budynkach i sprzęcie — uruchomienie jego nastąpiło w czerwcu br.

— Dlaczego, panie doktorze, założono sanatorium dla gruźlików w Tuszynku pod Łodzią. Wydaje mi się, że bardziej wskazane na budowę tego rodzaju zakładów leczniczych są miejscowości położone w okolicach podgórskich lub nawet w samych górach.

— Doświadczenie medyczne wykazało, że chorzy na gruźlicę, a zwłaszcza chory na gruźlicę człowiek pracy powinien leczyć się w klimacie najbardziej zbliżonym do tego, w jakim przebywa w życiu codziennym. Myślą przewodnią ubezpieczeń społecznych przy zakładaniu sanatorium w Tuszynku było stworzenie ośrodka leczniczego dla robotników łódzkich i dlatego właśnie zbudowano sanatorium w okolicy Łodzi. 90 proc. naszych pacjentów — to łódzcy włókniarze — dodaje dr Zaleski.

— A ile łóżek mieści sanatorium i jak przedstawia się rozdzielnik łóżek na poszczególne oddziały?

— Sanatorium posiada do dyspozycji 600 łóżek i obecnie wszystkie miejsca są wykorzystane. Dział dziecięcy mieści 70 łóżek, młodocianych—200, pozostałe przeznaczone są dla dorosłych. — A o — to pawilon dziecięcy — wskazuje dr Zaleski na długi, piękny budynek w stylu pałacowym. Po obu stronach fasady znajdują się dwa skrzydła w formie otwartych werand.

— T. leżalnie — objaśnia doktór. Podchodzimy do pierwszej werandy. Kilkanaście szeregów leżaków, na nich najmniejsi pacjenci w wieku od lat 6 do 14-tu, owinięci w koce leżą spokojnie pod okiem pielęgniarek.

Podchodzę do pierwszej z brzega pacjentki o żywych oczach i inteligentnej buzi. Ola A., ma lat 13, jest córką robotnika ze Zgierza. Przebywa w sanatorium od trzech miesięcy, a dr Garlińska (ordynator działu dziecięcego) powiedziała, że już w przyszłym tygodniu może wrócić do domu. Jest zdrowa. Przybyło jej na wadze 4 kilo. Oli żal jest trochę opuścić sanatorium, bo „tak jest tu przyjemnie i wesoło i tyle dzieci, a poza tym jest redaktorką gazetki ściennej pod tyt. „Wesołe wiadomości", wydawanej przez dzieci w sanatorium. Chciałaby bardzo żeby ją sfotografować na leżaku.

Spełniamy jej życzenie i przychodzimy z werandy do wnętrza budynku. Długi, jasny korytarz. Po jednej stronie okna, po drugiej pokoje ośmio, dziesięcio, dwunasto-osobowe i jadalnia oraz świetlica. W świetlicy wisi gazetka ścienna. Rysunki, wierszyki. Ich mali autorzy — to może w przyszłości dużej miary talenty.

Ale nie ma czasu na wgłębianie się w szczegóły. Opuszczamy — jak mówi dr Zaleski — „czynne zespoły pierwotne oraz nacieczenia gruźlicze" małych pacjentów i idziemy do pawilonu dla młodocianych.

Na spotkanie wychodzi do nas ordynator, dr Łąski. Dr Łąski pracuje już 20 lat w sanatoriach dla gruźlików. Jest zażenowany naszą wizytą, ponieważ nie zdążył się ogolić. Nie miał czasu. Jest jedynym lekarzem na tym oddziale.

— Brak, proszę pani, lekarzy, ogromny brak — dodaje z powagą.

Wybaczamy dr Łąskiemu jego zaniedbanie w toalecie i idziemy do chorych. I tu werandują. Same młode dziewczęta w wieku od 15 do 21 lat „zaszyte" w futrzane worki i koce. Proszą nas abyśmy zobaczyli ich świetlicę. Same ją ozdabiały. Obejrzeliśmy i świetlicę i salę teatralną.

— Mają humor i radość życia — mówi dr Łąski z zadowoleniem — a osiągnięcie tego stanu jest wynikiem stałego wysiłku personelu.

— Czy na tym dziale stosuje się wyłącznie leczenie zapobiegawcze?

— Nie. Około 60 proc chorych to przypadki zapobiegowe odmowe, reszta zaś pacjentek podlega leczeniu zapobiegawczemu.

— Na czym polega zabieg odmy?

— Jeśli panią to interesuje — wtrąca dr Zaleski — to właśnie za chwilę taki zabieg odbędzie się na pawilonie dla dorosłych. Będzie pani mogła go zobaczyć. Wchodzimy do sali zabiegowej. Niestety, zabieg, który mieliśmy obejrzeć, już się kończy.

Jeszcze musimy przejść do chorych dorosłych.

Nowocześnie urządzona piękna leżalnia.

Pracownik Państwowej Fabryki aparatów elektrotechnicznych, p. Wacław C., zamyka książkę i spogląda na mnie spod okularów. Pytam go jak dawno jest w sanatorium i jak się obecnie czuje. Mówi, że przebywa tu już od trzech miesięcy. Spodziewa się, że już wkrótce będzie zdrów i będzie mógł powrócić do rodziny.

— Już nikogo nie zarażę — dodaje na zakończenie. Jest poważny, ale pogodny.

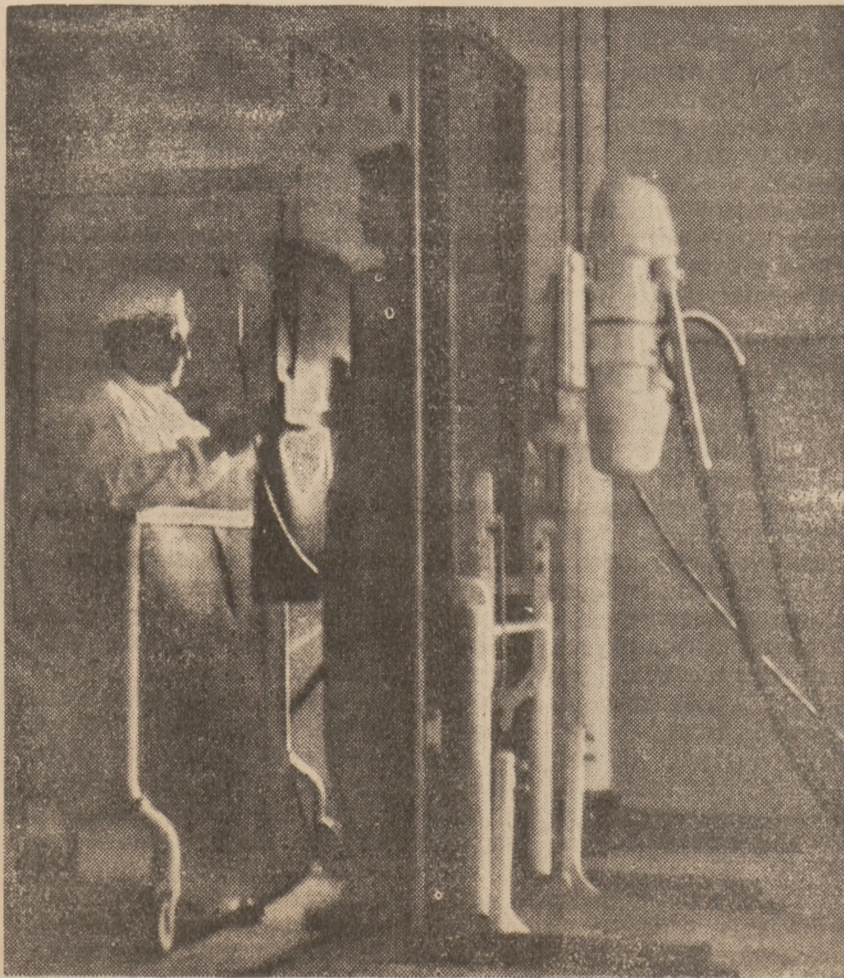
— Panie doktorze — zwracam się do dr Zaleskiego — widzę, że wszyscy pacjenci rozumieją doniosłość przeprowadzenia całej kuracji zarówno w interesie własnym, jak i otoczenia.

— Niestety — odpowiada doktór — nie wszyscy. Wczoraj np. zdarzył się przypadek, gdy jeden z pacjentów chciał po prostu „uciec" z sanatorium pod pozorem wezwania go przez pocztę do osobistego podjęcia pieniężnego przekazu pocztowego. Człowiek ten jest poważnie chory. Jest on niewykwalifikowanym robotnikiem pracującym przy przenoszeniu ciężarów. Jeśli powróci do swej pracy za wcześnie — nie ulega wątpliwości, że stan jego ulegnie znacznemu pogorszeniu, a ponadto będzie rozsiewał zarazki wśród swego otoczenia. 50 proc. naszych chorych, to chorzy początkujący. Celem lecznictwa sanatoryjnego jest nie tylko odprątkowanie chorego, lecz również jego uspołecznienie. Staramy się przeto uświadomić chorych w sanatorium drogą odczytów i pogadanek, że gruźlica jest groźną chorobą społeczną i że musimy ją energicznie likwidować. Likwidacja gruźlicy może nastąpić jedynie wówczas, gdy całe społeczeństwo będzie zdawało sobie sprawę z jej niebezpieczeństwa. Statystyka wykazuje, że wpływ uświadomienia ogółu obywateli o przebiegu, metodach leczenia i niebezpieczeństwie gruźlicy, zmniejsza zachorowalność. Wcześnie rozpoznana gruźlica jest uleczalna w 90 proc. Dużą rolę w uświadomieniu i zapobiegawczości spełniają poradnie przeciwgruźlicze a następnie konsekwentnie przeprowadzone leczenie.

O gruźlicy trzeba pamiętać, że jest to jeden z najgroźniejszych wrogów społeczeństwa i ubezpieczalnie społeczne dokładają największych starań i wysiłków aby go zniszczyć — dodaje dr Zaleski na zakończenie naszej rozmowy.



...z uśmiechniętych twarzyczek widać, że werandowanie nie należy do przykrych chwil w sanatorium.



Lekarz specjalista chorób płucnych posługuje się przy badaniu rentgenem, jak internista słuchawką. (fot. R. Burzyński)

Quas
TARYFA ŚWIĄTECZNA

Nikomu w tym roku życzeń noworocznych nie posyłam.

Trudno! Muszą się obejść bez nich krewniacy i przyjaciele.

Dosyć miałem kramu z samymi przygotowaniami do zadośćuczynienia tej kłopotliwej tradycji.

Najpierw przez pół dnia układaliśmy z żoną listę osób, które wypadało obdarzyć dowodami życzliwości i pamięci.

Po dokonaniu ścisłej selekcji, podyktowanej względami praktyczności na arkuszu figurowało sto czterdzieści pięć nazwisk drogich nam bliźnich.

Drapiąc się w głowę, spojrzałem na żonę.

Może by nie posyłać rodzinie two jej ciotki Rozalii? — spytałem niepewnie. — Zawsze to osiemnaście osób...

— Co?! Dlaczego nie skreślisz swego wuja Ludwika z jego godnymi familiantami? Dużo z nich mamy pociechy! Ciotka Rozalia więcej warta od nich wszystkich!

— Ech, — mruknąłem lekceważąco. — Możemy się obejść bez jej gomółek i robaczywych jabłek, jakie raz do roku nam przysyła...

— A gęś od kogo mamy? A grzyby? A pierze? — oburzyła się żona. Machnąłem ręką z rezygnacją.



— Racja! Napiszemy tak: Serdeczne życzenia... No? I co więcej?

— Przecież pisali w gazetach, że życzenia można przesyłać za zniżoną opłatą — przypomniała sobie żona.

— Gdzie?! — ucieszyłem się, chwytając „Kurier".

Po chwili czytałem:

„Za opłatą 1 zł mogą być przesyłane w niezaklejonych kopertach bilety z życzeniami świątecznymi, wyrażonymi najwyżej w pięciu słowach, lub przy pomocy pięciu ogólnie przyjętych liter początkowych bez wliczenia słów podpisu i daty".

— W pięciu słowach... Czekaj... Na przykład: „Drogiej Wujence przesyłamy z Nowym..." — To już pięć! — opuściłem ręce bezradnie.

— Bo po co „z Nowym?..." Napisz tak: „Drogiej Wujence przesyłamy serdeczne życzenia noworoczne..."

— Stop! Jest sześć! — pohamowałem żonę. — Bo po co pisać przesyłamy. Albo „noworoczne"? Napisze się datę i wujenka się domyśli, że chodzi o noworoczne życzenia.

— To i „Drogiej Wujence" można nie pisać — zauważyła żona. Przecież adres będzie na kopercie.

— Racja! Napiszemy tak: Serdeczne życzenia..." No? I co więcej?

— Trzeba napisać czego. Więc — zdrowia, szczęścia i pomyślności...

— Za dużo! — przerwałem. — Zresztą jest zrozumiałe, że życzy się zdrowia i szczęścia, a nie chorób i wojny.

— No to dojdzie jeszcze podpis... A nie! Tu jest „bez wliczenia słów podpisu i daty"...

— Jak to, bez wliczenia? — zaniepokoiłem się. — To znaczy, że jak wliczę do słów... tak... podpis i datę... rozumiesz? Zaraz... Przypuśćmy, że nie wliczę podpisu... A imię? podniosłem strapiony wzrok na żonę.

— Prawda! Skąd wujenka będzie wiedziała, od którego kuzyna dostała życzenia, jak imienia nie będzie?

Imię widocznie trzeba z wliczeniem... Chociaż, dlaczego? Imię należy do podpisu...

A jak kto ma trzy imiona? — żona zasiała nową wątpliwość w mojej duszy.

— Właśnie... Teofil ma, na przykład, pięć imion... Zaraz! Można w ogóle inaczej wszystko napisać! Przecież tu jest powiedziane, że jeden złoty płaci się też za życzenia wyrażone przy pomocy pięciu ogólnie przyjętych liter początkowych! Jakie znasz ogólnie przyjęte litery początkowe?

— A... b... c... d... e... e... f... — wyliczyła sumiennie żona.

Potarłem czoło z wysiłkiem.

— No... tak... To i ja znam... — Wiesz co? — zawołałem nagle. — Pal diabli całą taryfę! Nie wyślemy nikomu życzeń!

Żona, która między innymi ślubowała mi posłuszeństwo, pochyliła głowę w milczeniu.

Quas

Nowe książki

N. Hawthorne — Szkarłatna litera. Powieść. Przekład Adama Laternera z przedmową Stanisława Helsztyńskiego str. 192. Warszawska Spółka Wydawnicza „Syrena".

J. I. Kraszewski — O Pietrku Właście, palatynie, którego zwano Duninem. Opowiadanie historyczne z XII w. str. 254. Warszawska Spółka Wydawnicza „Syrena".

Dr. Wszędobylski — Najciekawsza podróż z d-rem Wszędobylskim. Przekład inż. Waltera i T. Zabłudowskiego. Ciekawa książka dla młodzieży, bogato ilustrowana str. 175. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".

Wojciech Żukrowski — Piórkiem flaminga czyli opowiadania przewrotne str. 206. Wydawnictwo „Awir".

Eugenia Stołyhwo — Nasi praprodzice. Książka omawiająca kim jest i jak powstał człowiek. Str. 135. Radiowy Instytut Wydawniczy.

Komitet Organizacyjny „Dni Przeciwgruźliczych". Walczmy z gruźlicą. Jest to odbitka specjalnego numeru „Opiekuna społecznego" Nr 9/10, poświęconego sprawom walki z gruźlicą. Str. 70.

Michał Szołochow — Cichy Don. Powieść w 2 tomach w przekładzie. W. Rogowicza i A. Stawara str. 254 + 225. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik"

Jarosław Iwaszkiewicz — Czerwone tarcze. Powieść historyczna str. 377. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".

Henryk Szyper — Adam Mickiewicz poeta i człowiek czynu. Popularne studium literackie str. 244. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".

Adam Ważyk — Mity rodzinne. Powieść str. 313. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".

J. I. Kraszewski — Historia o Janaszu Korczaku i o pięknej miecznikównie. Powieść str. 267. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".

Leon Pasternak — Linia życia. Poezje. Nakładem Związku Zawodowego Literatów Polskich w Łodzi str. 78.

OFIARY

Zamiast wysyłania życzeń świątecznych i noworocznych:

Faustyna i Józef Komorowscy — W-wa Berezyńska 16 na Chłopskie Tow. Przyjaciół Dzieci — 500 zł. na Robot. Tow. Przyjaciół Dzieci — 500 zł.

Józefa i Stanisław Melionowie do dyspozycji Rodziny Radiowej — 500 zł.

KĄCIK JĘZYKOWY
KSIĘŻYC I OLBRZYM

Jeszcze trochę etymologii. Czy wszyscy wiemy, jakie jest pochodzenie np. słowa „księżyc"? Powstało ono z tego samego pnia, co „książę" (niegdyś rodzaju nijakiego: to książę, jak: to pacholę, to dziewczę) i ksiądz. Wszystkie trzy są pokrewne, nawet oznaczają w gruncie mniej więcej to samo. „Ksiądz" nie oznaczał niegdyś duchownego, kapłana, lecz władcę świeckiego — w owym czasie, gdy śmy jeszcze byli poganami. Toteż nawet w tytulaturze królów polskich długo jeszcze wymieniano: „wielki ksiądz litewski"; dopiero z początkiem w. XVI, aby nie mieszać tego pojęcia z pojęciem duchownego, zaczęto mówić najpierw „wielkie książę litewskie" i wreszcie: „wielki książę litewski".

Dlaczego Polacy po przyjęciu chrześcijaństwa mianowali duchownego „księdzem" czyli „księciem" — to proste: duchowieństwo posiadało wówczas znaczną władzę, nie tylko kościelną, ale i świecką.

Cóż wobec tego znaczy „księżyc", od któregośmy zaczęli? Księżyc — to dosłownie: syn księdza (porównajmy księżyk, księżyna), jak panic (panicz to późniejsze) czyli syn pana, wojewodzic — syn wojewody, starościc — syn starosty, kasztelanic — syn kasztelana itp. Otóż — SŁOŃCE dla pierwotnego pogańskiego Polaka, to był KSIĄDZ, wielki władca, oświetlający dobroczynnie ziemię, dający jej urodzajność: słońce było czczone. A KSIĘŻYC, to jakby syn słońca, „mały ksiądz", który świeci tylko w nocy, i nie zawsze nawet, i ziemi nie zapładnia.

Może nas również interesuje etymologia wyrazu „olbrzym"? Mamy synonim tego słowa: wielkolud jak wielo —ryb. Gdzie jest pień słowa „olbrzym", od czego go wywieść? Pochodzenie „olbrzyma" jest ciekawe. Zróbmy małą analogię z niemczyzną: Język niemiecki na oznaczenie olbrzyma ma również dwa wyrazy: „der Riese" i der Hüne". Ostatni pochodzi od nazwy dzikiego plemienia Hunnów, którzy wprawdzie byli mało rośli, jak przeważnie Mongołowie, ale tak groźni dla pierwotnych Germanów, że przeszli do ich legend i podań jako straszliwe olbrzymy. To samo nastąpiło z naszym olbrzymem wymawianym początkowo jako „obrzym", a pochodzącym od nazwy plemienia Obrów. Ci Obrzy, inaczej Awarowie, Awary, w w.VI dali się ciężko we znaki Słowianom, a potem tak zniknęli bez śladu w stepach azjatyckich, że poszło od tego starosłowiańskie przysłowie: „wyginąć jako Obrzy". Imię Obrów — obrzymów pozostało w nazwach paru miejscowości w Wielkopolsce: Obrowo i Obrzycko, oraz rzek: Obra — dopływ Warty i Obrzyca — dopływ Odry.

Bakałarz

KRONIKA KULTURALNA

TRAGICZNĄ ŚMIERCIĄ skutkiem zaczadzenia, wraz z całą rodziną złożoną z czterech osób, umarł we Włochach Józef Batorowicz. Był to zasłużony dziennikarz, ostatnio, po repatriacji z Wilna, redaktor techniczny „Gazety Ludowej". Zmarł mając lat 50. Początkowo oddawał się działalności literackiej, którą rozpoczął jeszcze w r. 1912, zamieszczając, jako uczeń gimnazjalny, swe wiersze w „Zorzy", w „Gazecie Świątecznej" i „Gazecie Polskiej" w Warszawie. W r. 1916 wydał „Jasełka", w r. 1918 baśń dramatyczną „Sierotkę Marysię", przeznaczone dla teatrów ludowych. W r. 1923 ukazał się w Wilnie jego zbiór poezji pt. „Liliowe śnienia". Była to jego ostatnia publikacja literacka. Odtąd poświęcił się całkowicie dziennikarstwu w Wilnie, gdzie na stałe zamieszkał. Zagorzały ludowiec (pochodził ze wsi Czerwonka na Podlasiu), pracował kolejno w „Naszym Kraju", w „Słowie Żołnierskim", w „Gazecie Krajowej", w „Gazecie Powszechnej", w „Kurierze Wileńskim". Był oficerem rezerwy, Kawalerem Krzyża Walecznych. Wojnę przebył w Wilnie i na Wileńszczyźnie, ukrywając się nieraz przed Gestapo. Wilnianie pamiętają zapewne jego wszędobylską małą, okrągłą postać w okularach, zawsze w chłopskiej maciejówce i w długich butach, zawsze z wielkim czarnym fontaziem na szyi; ci, co go znali osobiście, pamiętają prostoduszność, szczerość i poczciwość dobrego kolegi „Batorego".

JERZY BOREJSZA wydał szczuplutką, zaledwie 14-stronicową, ale ciężarną mądrymi myślami broszurę pt. „Na rogatkach kultury polskiej". Jest to publikacja referatu, jaki Borejsza wygłosił przed paru miesiącami na Krajowym Zjeździe Pełnomocników „Czytelnika". Borejsza rozprawia się z pojęciem „mnogości" czy „wielkości" kultur — mówiąc słowami Chwistka: z kulturą chłopską, robotniczą, inteligencką itp., które mają dziś w Polsce swych wyznawców i bojowników, tak bardzo zaślepionych, jak np. Jan Aleksander Król ze „Wsi". Idąc drogą takiego podziału kulturalnego, ironizuje Borejsza, można by mówić o kulturze rzemieślniczej, aptekarskiej, weterynarskiej i tam dalej — w nieskończoność. — Kultura jest tylko jedna — narodowa. Nie ma oddzielnej literatury chłopskiej, oddzielnej literatury robotniczej: jest literatura polska, jak jest francuska, rosyjska, angielska czy gruzińska. W dalszym ciągu wypowiada Borejsza takie oto ważkie słowa: „Słyszymy nieraz, jak ludzie młodzi, bez dostatecznej znajomości dziejów tej pracy w naszym kraju, w czambuł potępiają wszystko, co było przed nimi, i odżegnywują się od wszystkiego bez wyjątku, co w tej dziedzinie zdziałano w okresie przedwojennym. Skłonni są oni nawet z właściwą młodzieży pewnością siebie utrzymywać, że przed nimi nie było absolutnie nic i że dopiero od nich rozpoczyna się nowa era i nowy świat..." Rzeczywiście, czy może istnieć jakakolwiek kultura bez ciągłości i tradycji? Brawo, Borejsza! Jednakże „Tydzień" musi tu wetknąć swoje trzy grosze. Musi się pochwalić, że on mówił to już przed Borejszą — w paru swoich felietonach, i jeszcze wcześniej, bo już w pierwszym swoim numerze z dn. 14.7.1946 r., w artykule Jana Nepomucena Millera pt. „Na początku nie było nic", który to artykuł tak się zaczynał: „Istnieją pewne kategorie teraźniejszej inteligencji, w swoim mniemaniu zapewne elity kulturalnej, podkreślające z upodobaniem, że świat się od nich zaczął; że dotąd w Polsce nie było nic..." I tam dalej. Prosimy to sobie przeczytać. Ale co na to wszystko, co na Borejszę powie Żółkiewski — owo jaje prabytu, z którego w Polsce wszystko się wykluło, łącznie z Ryśkiem Matuszewskim i Julkiem Żuławskim? Że też się Borejsza tego jaja nie boi? Ale, kto wie, może Borejsza jest kurką? Jakkolwiek bądź, tym razem w swej książeczce zniósł nam złote jajko.

St. Łatka.



(Dokończenie z numeru 52)

W pierwszych miesiącach 1943 r. doniesienia wywiadu brytyjskiego wskazywały ogólnikowo, że Niemcy pracują nad nową bronią dalekiego zasięgu, przeznaczoną głównie dla bombardowania Londynu. W lipcu tegoż roku ustalono, że główne ośrodki doświadczalne bomb latających i pocisków rakietowych znajdują się w miejscowości Peenemünde nad Bałtykiem. W sierpniu całe siły Bomber Command wysłane zostały do ataku, w rezultacie którego wyrządzono wielkie szkody, a cała prawie ekipa uczonych niemieckich, mieszkająca w ośrodku „Kraft durch Freude", zginęła.

Nalot ten opóźnił o wiele miesięcy wprowadzenie do akcji nowej broni.

Na podstawie powietrznego rozpoznania fotograficznego stwierdzono, że oprócz wielkiej wyrzutni w Weeten, [illegible] mniejszych było bądź już wybudowanych, bądź znajdowało się w budowie na wybrzeżu francuskim, głównie pomiędzy Havre i Calais. Wszystkie te wyrzutnie bombardowano systematycznie, co wpłynęło również na opóźnienie akcji nieprzyjacielskiej, jak i na jej rozmiary.

Gdyby nie bombardowanie tych obiektów we Francji i w Niemczech, atak na Londyn rozpocząłby się o 6 miesięcy wcześniej i w rozmiarach chyba decydujących.

Ponieważ niszczenie wyrzutni stałych okazało się bardzo skuteczne, Niemcy rozpoczęli seryjną produkcję wyrzutni przenośnych o niezwykle prostej konstrukcji. Wyrzutnie takie mogły być przerzucane coraz to w inne miejsca i dlatego bombardowanie ich było znacznie bardziej utrudnione.

Premier Churchill, przemawiając w Izbie Gmin doszedł do wniosku, że mieszkańcy Londynu muszą się po prostu do V1... przyzwyczaić i że — „każdy powinien wykonywać swoją pracę, a później szukać najbezpieczniejszego schronu i zapomnieć o swych troskach".

Hm, powiedział co wiedział. O przyzwyczajeniu mowy być nie może! Dobrze mu dawać takie rady, kiedy sam siedzi 30 metrów pod ziemią na Downing Street .A my co? Biegamy od schronu do schronu i ledwo możemy zdążyć.

Jak przystało jednakże na lojalnych londyńczyków ,chcieliśmy się nawet przyzwyczaić. Poszliśmy na spacer z mocnym postanowieniem, że nic nas to wszystko nie obchodzi. że gdyby robot przelatywał nam nad głową, to my w ogóle jak gdyby nigdy nic itd. itd.

Staliśmy akurat w ogonku do kina, gdy dały się słyszeć dzwonki alarmowe i wkrótce potem turkot zbliżającego się „wariata".

Nie miałem stopera, ale jestem pewien, że 100 metrów dzielących nas od najbliższej stacji „Undergroundu" przebiegliśmy w tempie znacznie szybszym, niż światowy na tym dystansie rekord — coś w 7 chyba sekund?!...

Oczywiście, że w ogonku przed kinem nie pozostał nikt. Angielska flegma w takich wypadkach zawodzi zupełnie. Przypominam sibie, kiedy w 1941 roku podczas „blitzu" na Londyn z tłumu londyńczyków, pchających się do schronu w okolice White Chapel, zginęło stratowanych 180 ludzi. Tłum jest wszędzie jednakowy.

Udawanie złego psychologa jest pierwszym warunkiem miłego współżycia. Cenię bardzo przyjaźń Janusza i nie uczynię niczego, coby tę przyjaźń narazić mogło na szwank.

— Oczywiście, Januszku, ja z góry wiedziałem, że podszedłeś do sprawy wyłącznie ze sportowego — że tak powiem — punktu widzenia: kto pierwszy do stacji kolejki podziemnej — my czy „wariat?..."

— A żebyś wiedział, że właśnie tak. Tylko dla sportu. Grunt to wychowanie fizyczne. Aleś pędził, Zygmunt, niech cię nie znam! Że wariat leci 400 mil na godzinę, to jego takie prawo, ale dlaczego ty?

*

Na drugi dzień po owym „sportowym" wyczynie przeniosłem się do Ruislipu, takiej londyńskiej Radości czy Świdra, a Janusz zamieszkał w piwnicach drapacza chmur na Roland Gardens Nr 7. Janusz wychodził z założenia, że kto celuje w sam środek — nigdy w sam środek nie trafi Roland Gardens leżą w samym środku Wielkiego Londynu.

Ruislip, dn. 8.IX.44 r.

Dzisiaj bomba trafiła w Roland Gardens Nr 7. Janusza nie zastała w domu: siedział u mnie w Ruislipie i namawiał gorąco, abym zamieszkał z nim razem...

Zasięg „nalotów" V1 jest bardzo rozległy. Nawet tutaj przylatują od czasu do czasu.

Przed chwilą byliśmy właśnie świadkami jedynego w swoim rodzaju widowiska. Była godzina 9 wieczorem. Siedzieliśmy przy otwartym oknie. Niebo zaczynało się różowić. W pewnej chwili usłyszeliśmy daleki jeszcze głuchy warkot potężnych silników zbliżającej się armady bombowców i wkrótce zobaczyliśmy kilkaset — nawet nie próbowałem ich zliczyć — sylwetek „Latających Fortec". Leciały gdzieś zachodu w kierunku na Londyn i dalej do Francji.

Huk się wzmagał i wreszcie stał się tak potężny, iż zdawało się, że nic już zagłuszyć go nie zdoła.

W momencie jednakże, gdy pierwsza fala bombowców znajdowała się nad nami, dał się słyszeć jakiś ostry urywany jazgot i zobaczyliśmy nagle robota, lecącego na spotkanie „Latających Fortec". Leciał znacznie niżej i wkrótce zaczął je mijać.

Widok był niezwykły i śmieszny zarazem. Jedna szczekająca, mała — jakby się zdawało — przestraszona — i kryjąca się z chmurki w chmurkę bomba — na tle kilkuset potężnych czterosilnikowych powietrznych okrętów — nie miała żadnej proporcji.

Aż nam się żal zrobiło szczeniaka. Dobrze jednakże, że nie było odwrotnie: jedna „Forteca" i kilkaset latających bomb. Też byłoby śmiesznie, ale znacznie mniej.

* * *

V1 już się właściwie skończyły. Jeszcze od czasu do czasu — raz na dwa dni, coś tam przyleci, coś wybuchnie z wielkim hukiem, zabije kilku ludzi, — ale to już chyba koniec?

W ciągu 80 dni „Drugiej bitwy o Londyn" Niemcy wystrzelili 8.000 latających bomb.

2.300 z nich — to jest 29% — dotarło do Londynu.

Samoloty myśliwskie zestrzeliły 1.900, a

223 z tej liczby, a więc prawie 12% — Polacy

Oczywiście, że w prasie angielskiej nie ma o tym ani słowa. Nie ma ani słowa o tym, że znowu Polacy bronili Londynu, że znowu poległo kilkunastu polskich chłopców i śmiercią swoją uchronili od śmierci kilkuset Brytyjczyków. że znowu Polacy złożyli ofiarę większą, niż na to ich stać, ofiarę — na jaką się nie zdobył żaden inny — walczący w „Second Battle of Britain" — sprzymierzeniec.

Zygmunt Wasilewski.

NĘDZNICY

Przed Gwiazdką musiałem sobie napytać trochę kłopotu z książkami. Mam parę przyjaciółek i przyjaciół w tym wieku, kiedy dziewczątka są podfruwajkami a chłopcy dzikimi Indianami, tj. kiedy jedne i drudzy przeżywają na swój sposób początkowy okres romantyzmu — introdukcję do „Sturm - und Drangperiode". Myślę, że książki najlepszym bywają wówczas podarunkiem, ale książki dobre; rozumiem przez nie takie książki dla młodzieży, które z przyjemnością może przeczytać dorosły, albo takie książki dla dorosłych, które z ciekawością i pożytkiem może przeczytać młodzież — np. „Przygody Hucka" albo „Tomka Sawyera". Marka Twaina, „W pustyni i w puszczy" Sienkiewicza, coś z Dickensa, Kiplinga itp. Dobre są również opracowania niektórych rzeczy poważnych dla młodzieży, ale umiejętnie zrobione, dajmy na to, „Nędznicy" Wiktora Hugo, „Don Kichot" czy „Quo vadis". Sądzę wreszcie, że dobra książka dla młodzieży powinna być ilustrowana, oczywista, również dobrze i artystycznie, widzenie bowiem rzeczy, oglądanie ich, choćby na rysunku, ma duże znaczenie pedagogiczne, jak tego dowodzi tzw. metoda poglądowa w nauczaniu, a pamięć wzrokowa w wieku młodocianym jest szczególnie żywa.

Chodziłem tedy po księgarniach i szukałem kilka dobrych, w moim rozumieniu, książek dla chłopców i panieneczek. Należy oddać sprawiedliwość wydawcom, że w dobrze pojętym interesie własnym, nie szczędzili zachodów, żeby na Gwiazdkę roku 1947 zasilić. jak się to mówi, rynek księgarski różnorakim towarem: tylko brać i wybrać. Ale ja jestem bardzo wybredny. Znalazłem np. to, o co mi chodziło — „Nędzników", przysposobionych do umysłowości młodzieży przez p. Adamusa Piękna ta książka i humanitarna. Jej bohater Jan Valjean, skazany na wieloletnie galery za drobne kradzież bochenka chleba, usiłuje potem przez całe swe życie odrodzić się i stać uczciwym człowiekiem, rzetelnem członkiem społeczeństwa. Z jakim trudem mu to przychodzi w owych latach pierwszej ćwierci zeszłego stulecia, w porewolucyjnej i postępowej Francji. która przeżyła niby wszystkie zdobycze obywatelskie rewolucji, a przecież gręźnie w przeżytkach i przesądach! Jakże pouczająca jest taka lektura dla młodego umysłu, który na jej marginesie może puścić wodze wyobraźni historycznej, przeprowadzać porównania i zestawienia, podziwiać olbrzymi postęp, jaki w ciągu jednego wieku ludzkość uczyniła i dziwić się temu, ile musiała ona ponieść ofiar i wysiłków, jakich nieznanych zaznać cierpień, by osiągnąć ten stan, zdawałoby się całkiem prosty, który jest dzisiaj naszym udziałem.

Rzuciłem się więc na „Nędzników". ale natychmiast ostygłem w zapale. Opracowanie ich jest bardzo kiepskie. Jest to właściwie taki skrót czyli bryk, jakich setkami popełniają źli pedagogowie. streszczając nieudolnie „własnymi słowami" różne „Balladyny" czy „Irydiony" do użytku próżniaków szkolnych. Ale rzecz jasna, interes wydawcy został dobrze pojęty. Książka jest niedroga, typograficznie nieźle wyprodukowana, ozdobiona przy tym ilustracjami.

Otóż, co do ilustracyj... Myślę, że ilustratorami książek młodzieżowych powinni być pierwszorzędni artyści, to znaczy, tacy, którzy, po pierwsze, umieją **rysować**, po drugie — mają tyle wykształcenia z historii sztuki i kultury, że potrafią oddać wiernie epokę czy środowisko, w jakich się akcja danej książki obraca. **Rysować** — to nie to samo. co namachać w pięć minut ołóweczkiem jakąś sytuację i postacie ludowe, których ręce nie trzymają się barków, a stopki są tak małe i do tego na wysokich obcasikach, że nie mogą absolutnie udźwignąć ciężaru ciała. Tak rysuje, powiedzmy, Zaruba w „Szpilkach". Ale Zaruba tworzy **świadomie** karykaturę, a to rzecz zupełnie inna. Zaruba jest prawdziwym artystą, i jeśli się do niego zwrócić o realistyczny wizerunek człowieka, zrobi go doskonale. Bo Zaruba wie, co to rysować — jak tu trzeba znać dokumentnie proporcje i stosunek postaci ludzkiej, przestudiować sumiennie anatomię ciała ludzkiego, zbadać **prawa perspektywy itd.**

Większość naszych ilustratorów młodzieżowych, jak się zdaje, nie ma wyobrażenia o tej trudnej sztuce: nie umie **rysować.** Smarują coś karykaturalnie, karykaturą nadrabiając umiejętność i znawstwo, i wmawiają w nas, że robią jakieś „osiągnięcia", rewelacje i nowatorstwa. Ale tak nie jest. Mogę im zaręczyć, że nawet ekspresjonista czy kubista Picasso, którego, być może, próbują naśladować, choć malował dziwacznie skorupkę od jajka i mandolinę, miał inny w tym cel, znacznie głębszy niż oni, i gdyby chciał, umiałby narysować coś idealnie poprawnie i realistycznie. Ale oni, choćby chcieli, nie umieją; i ta jest między nimi a Picasso różnica.

Takie właśnie „picassowskie" rysunki znalazłem w „Nędznikach", rysunki, gdzie się nic kupy i logiki nie trzyma, a wszystko na dobitkę zamazane jakąś kreską, żeby było najczarniejsze. Może rysownik w ten sposób chciał oddać posępne tło, mroczny koloryt epoki?

Epokę trzeba również znać; trzeba mieć poczucie stylu, bo na ilustracjach do książek dziecko się uczy prawdy. Nie można biskupa Myriela w „Nędznikach" rysować w postaci jakiejś Baby-Jagi, armaty zaś w kształcie garłacza czy szturmaka z szerokim wylotem. jak to bywało gdzieś w wieku może XVII. Trzeba też mniej więcej wiedzieć, jakie fraki i surduty, jakie suknie i kapelusze nosili ludzie w czasach empirowych; trzeba trochę liznąć kostiumologii czy historii meblarstwa. Trzeba pamiętać, ile pracy i studiów wkładał taki Gustaw Doré w swe ilustracje do Rabelais'go i „Don Kichota". do Biblii i bajek Lafontaine'a, jak tam każdy guziczek i pętelka odrobione są w stylu epoki.

Nie kupiłem tedy „Nędzników", bo nie chciałem być gorszycielem młodzieży. Kupiłem starego „Plebana z Wakefieldu" Goldsmitha — bez ilustracyj; kupiłem, acz bez zachwytu, „Mistrza Twardowskiego", Kraszewskiego, również bez ilustracyj... Ale osłodziłem sobie wędrówkę po księgarniach „Anią z Zielonego Wzgórza", która akurat po raz dziewiąty, od chwili gdy przyszła na świat, wybiegła na polski rynek. Trzeba tej kochanej dziewczynce poświęcić osobny, następny felieton.

Jerzy Wyszomirski

Film TYGODNIA



Dnia 16.12 ub. r. odbyło się w Ze grzu uroczyste otwarcie nowowybudowanego mostu na Bugonarwi.





Premier Cyrankiewicz rozdał za pośrednictwem prasy warszawskiej 500 paczek dla najbiedniejszych dzieci Warszawy. Radość obdarowanych — to najmilsze podziękowan ie dla Premiera.



Olbrzymie masy warszawiaków wyjechały ze stolicy do rodzin, albo na wczasy świąteczne. Wśród wyjeżdżających dominowała młodzież akademicka stanowiąca pokaźną grupę wśród klientów „Orbisu".



Przyjaźń żołnierza z dzieckiem — to sprawa znana i uznana. W myśl tej tradycji dzieci warszawskie obdarowały chorych żołnierzy w szpitalach wojskowych.

(S.A.P.)

100 WIERSZY O SPORCIE

PIĘŚCIARZE nasi zremisowali z Węgrami 8:8, co prasie fachowej dało znowu okazję do komentarzy na temat sędziów. Wobec nieprzybycia na mecz sędziego neutralnego, Czecha na punkty sędziowali arbitrzy polski i węgierski, a w ringu na zmianę polski i węgierski z prawem głosu. Tak dziwnie złożyło się, że w dwóch wypadkach, kiedy orzeczenia walk budziły wątpliwość na naszą niekorzyść, sędziowało dwóch Węgrów i jeden Polak. W rezultacie z batalii poznańskiej pozostaje nam znów na pociechę świadomość, że mecz powinna była wygrać Polska w stosunku 10:6. W boksie, gdzie decydują sędziowie, a nie miara czy stopper, zawsze trzeba być przygotowanym na subiektywną ocenę sędziów i z tym trzeba się pogodzić.

W sporcie dzieje się jednak podobnie jak na wojnie, dlatego też do wyniku w Poznaniu nie należy przywiązywać specjalnej wagi, inne natomiast elementy zawodów budzą poważny niepokój. Publiczność tym razem przeszła pomysłowością stosowane dotychczas na tego rodzaju imprezach metody. Oto część widzów zjawiła się na meczu z... siekierami i łomami, aby mieć tym łatwiejszą swobodę poruszania się po sali, w której chytrzy organizatorzy meczu oddzielili tańsze miejsca od droższych. Przepierzenia sali ustąpiły pod tak wymownymi „argumentami", ale na szczęście sprawcy zajścia znaleźli się przy pomocy M.O. we właściwym miejscu. Okoliczność rzucenia jabłkiem w głowę sędziego węgierskiego przez niezadowolonego widza jest właściwie drobna, bowiem na meczach bokserskich padały już bardziej „ważkie" przedmioty.

Kapitan związkowy dopiero po meczu zorientował się, że termin spotkania tuż po świątecznych libacjach wybrany był niefortunnie. Święta źle wpłynęły na formę naszych zawodników i kapitan wyraża przypuszczenie, że w przyszłości „już nigdy nie będziemy organizowali meczów po jakichkolwiek świętach". Wobec jego spóźnionej reakcji należało by mu życzyć, aby w przyszłości w ogóle nie miał na ten temat głosu.

Tenże kapitan związkowy boleje nad faktem dopuszczenia do walki Kolczyńskiego, który przybył do Poznania w dniu zawodów po całonocnej podróży.

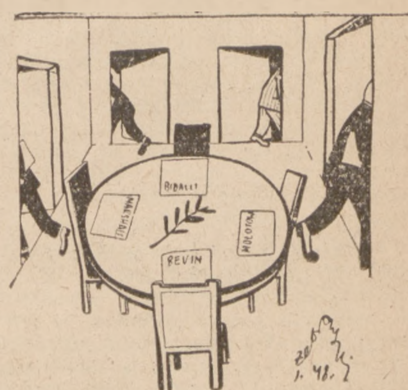
Sprawa Kolczyńskiego jest najciemniejszą stroną meczu z Węgrami i wobec niej bledną niepoczytalne wybryki siekierowo - jabłkowe pewnej części widzów. Kolczyńskiego siłą wyciągnięto chorego z łóżka i autem zawieziono do Poznania. Dla jakich ambicji to uczyniono? Wśród organizatorów meczu nie znalazł się nikt, ktoby zwrócił uwagę na niewłaściwość dopuszczenia w tych warunkach Kolczyńskiego do walki. W rezultacie tego karygodnego postępku Kolczyński chory i niewyspany znalazł się w ringu cztery razy na deskach.

Nasze władze bokserskie wykazały tu niesłychaną lekkomyślność, godząc się na dopuszczenie Kolczyńskiego do walki, a jego klub macierzysty objawił absolutny brak troski o zdrowie swego zawodnika. Sprawa ta należy do rzędu tych, które muszą znaleźć oddźwięk u właściwych władz, bowiem wykracza ona poza ramy meczu poznańskiego. Wierzyć należy, że doczeka się ona epilogu w naszej najwyższej magistraturze sportowej, która już nie raz dała dowód, że sport w Polsce nie może prowadzić na manowce.

SPRAWA GŁOŚNEGO przed świętami anulowania wyniku meczu o drużynowe mistrzostwo Polski w boksie, w którym Grochów pokonał Wartę 9:7, zakończyła się zupełnie niezwykle. Prezes Polskiego Związku Bokserskiego przyciśnięty „do muru" przez dyrektora Państwowego Urzędu WF i PW, zastosował znany chwyt z... kotem, czyli po prostu zwalił wszystko na Wydział Sportowy, sam zaś stojąc na straży fair play w sporcie, anulował decyzję swego wydziału. Widząc zdecydowaną postawę zdrowej opinii społeczeństwa sportowego, Warta... wycofała swój protest odnośnie spotkania w wadze ciężkie, a Grochów, który w ten sposób zyskał prawo do dalszego udziału w mistrzostwach, zgodził się na... towarzyskie spotkanie z Wartą w jej gościnnym domu. W ten sposób wszystko jest w porządku: Grochów walczy dalej w mistrzostwach, a Warta nie tylko, że będzie miała pokaźną kasę za towarzyskie spotkanie z Grochowem (reklama spotkania jest nie tyle budująca, ile iście amerykańska), ale nadto może być „moralnym" zwycięzcą meczu, o co w boksie nigdy nie jest... trudno.

Zygmunt Weiss

ŻYCZENIA NOWOROCZNE



„Wielkiej Czwórce": Nie taki k ROK 1948

PO MECZU LOUIS — WALCOTT



Czarna giełda

Dr Jan Żabiński

ŻUBR URATOWANY

Żubr i tur były niegdyś zwierzętami licznie zamieszkującymi puszczę europejską i polowanie na nie należało obok sztuki wojennej do czynów, którymi młody rycerz mógł wykazać swą odwagę, zręczność i siłę. Nie polowania jednak przyczyniły się do zagłady tych zwierząt, albowiem już w VII — VIII wieku na Zachodzie, a w kilkaset lat później nawet i u nas były one wzięte pod staranną ochronę, jako zwierzyna godna tylko głów panujących. Wycinanie puszcz i lasów, naturalnego środowiska tych zwierząt, było istotną przyczyną ich zagłady. Ostatni tur zginął w puszczy Jaktorowskiej, a niedobitki żubrów pozostały tam, gdzie jedynie zachowały się resztki prastarych tajg europejskich, tj. w Białowieży.

Przez cały XIX wiek chronione, jako zwierzyna cesarska, nie rozmnażały się jednak obficie. Sto lat ochrony zdołało zaledwie podwoić stado białowieskie z 350 sztuk na 700 — w r. 1914. Opiekunowie ówcześni nie zwrócili uwagi, że sarny, jelenie i daniele również chronione dla łowów cesarskich, są poważną konkurencją dla spokojnych i nie tak ruchliwych kolosów, objadając je przede wszystkim w okresie wiosennym z tak niezbędnego pokarmu dla roślinożerców, jakimi są młode pędy i pąki drzew. Katastrofa nastąpiła w czasie pierwszej Wielkiej Wojny. W 1921 roku znaleziono trupa ostatniej żubrzycy Białowieskiej, ubitej przez kłusowników.

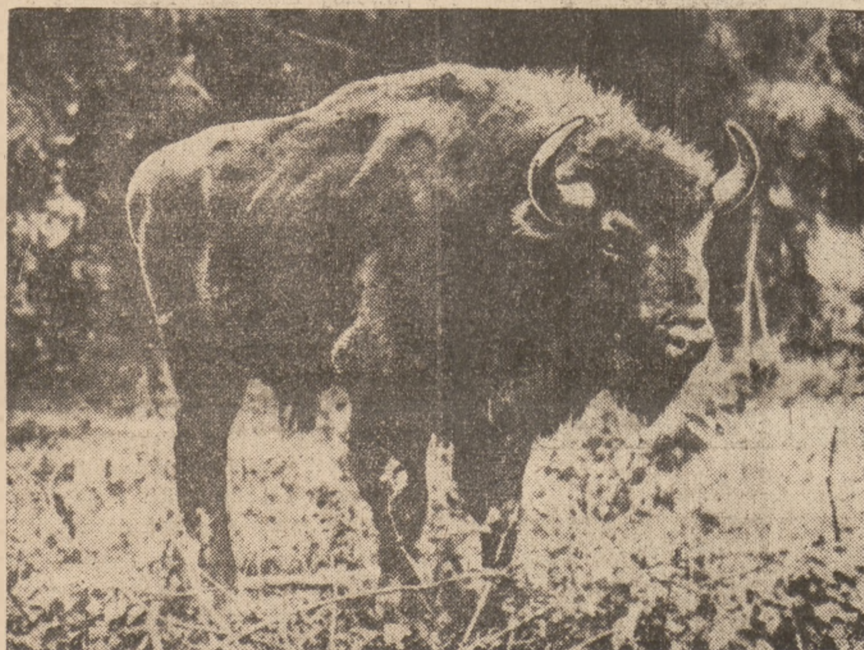
Zdawało się, iż żubr podzieli losy tura. Zaledwie około 30 sztuk bowiem zdołano się jeszcze dorachować na świecie po zwierzyńcach magnatów i ogrodach zoologicznych. Wtedy jednak rozpoczęły się wysiłki, celem utrzymania i rozmnożenia tego gatunku na świecie. Polska wzięła w tej pracy niemały udział zaczynając zresztą od skromnej liczby jednej pary, znajdującej się w Pszczynie, i dwóch krów i jednego buhaja, które zakupiono i ponownie wypuszczono do rezerwatów w Białowieży.

Wytężona praca dała piękne rezultaty. W przeciągu kilkunastu lat do r. 1939, prócz Pszczyny i Białowieży — założono jeszcze rezerwat w Niepołomicach i Spale. Polska szczycić się wówczas mogła ilością trzydziestu kilku sztuk. W owym czasie dorównały jej ilością żubrów, tylko Niemcy, gdy Szwecja, Holandia i Anglia miały razem zaledwie tę ilość, co Polska. Na świecie zatem tuż przed drugą wojną światową było około stu żubrów.

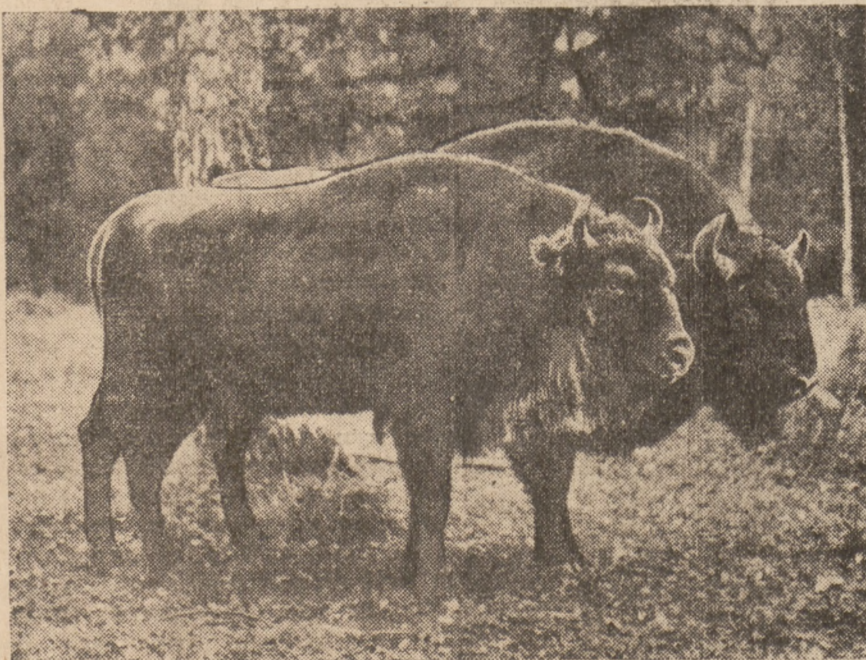
Drugi kataklizm dziejowy zdawał się rokować już bezwzględny koniec tego gatunku. Tymczasem mimo trzykrotnego przelewania się frontu przez Puszczę Białowieską — żubry niemal cudem ocalały. Ilość ich w ciągu sześciu lat wojny nawet się nieco powiększyła, mimo, że Niemcy pewną ilość wywieźli, jako łup wojenny. Obliczenia przeprowadzone po zakończeniu wojny wykazały, iż mamy około 40 sztuk, a obecnie z tegorocznym przychówkiem pięćdziesiąt kilka.

Dużo mniej szczęśliwie rzecz się ma w innych krajach. W Szwecji, Anglii i Holandii ilość w dalszym ciągu nie przekracza trzydziestu sztuk, Niemcy zaś zachowały zaledwie 13 sztuk w rezerwacie Springe. Polska zatem posiadając z górą 50 proc. całego stanu światowego, wysunęła się na pierwsze miejsce. I na nią spada obecnie obowiązek przodowania w pracach nad restytucją żubra. I słusznie, gdyż u nas żubr znalazł ostatnie schronienie na kuli ziemskiej i z polską przeszłością związał się tak ciasnymi węzłami, figurując w licznych dziełach naszej literatury, bądź służąc za model plastykom, że zainteresowanie i pewien kult dla żubra tkwi rzeczywiście w sercu każdego Polaka. Gdy w 1939 roku w czasie oblężenia Warszawy, żołnierze i ludność zabili na pokarm większą ilość zwierząt Ogrodu Zoologicznego, to ani jednego ze znajdujących się tam trzech żubrów nie ruszono, podczas gdy w Berlinie w sześć lat później, mimo, iż dyrektorem Zoo był prezes Międzynarodowego Towarzystwa Ochrony Żubrów — właśnie osiem żubrów zabito bez żadnych skupułów na pokarm dla ludzi.

Kiedy już wspomniałem Międzynarodowe Towarzystwo Ochrony Żubra, nic od rzeczy będze może poinformować publiczność polską o historii tej instytucji.



Żubr - samotnik wygrzewający się na skraju polany.



„Faworyta" i „Borusse" w puszczy białowieskiej

W r. 1923 wicedyrektor Państwowego Muzeum Zoologicznego, znany podróżnik przyrodnik Jan Sztolcman na Zjeździe Ochrony Przyrody w Paryżu rzucił myśl stworzenia specjalnej międzynarodowej instytucji, poświęconej ochronie tego ginącego gatunku. Myśl ta przyjęta ogólnym aplauzem doczekała się urzeczywistnienia na zupełnie nieoczekiwanym odcinku. Podjęli ją bowiem Niemcy, nie biorący jeszcze wówczas udziału w międzynarodowym życiu kulturalnym i założyli niemieckie Towarzystwo Ochrony Żubra z siedzibą we Frankfurcie nad Menem. Niemiecki ośrodek, w którego zawiadywaniu było cztery piąte istniejących na świecie żubrów, przekształcił się w instytucję międzynarodową, do której w r. 1929 przyłączyła się Polska ze swoim nikłym stanem żubrowym w ilości pięciu sztuk.

Poza Polską w skład Międzynarodowego Towarzystwa jako hodowcy żubrów weszły: Szwecja, Holandia, Austria, Węgry, Dania i Szwajcaria. Poza państwami będącymi członkami Towarzystwa, parę czystych krów żubrzych posiadała Anglia, nie mogąc jednak przyczynić się do rozmnożenia żubrów z braku czystej krwi stadnika oraz — Związek Radziecki, który posiadał tylko jedynego buhaja czystej krwi. Prace Towarzystwa dla laików będą może dość niezrozumiałe. Zarząd bowiem nie miał prawa ingerowania nadzorczego w stosunku do poszczególnych rezerwatów hodowlanych żubra, bądź ogrodów zoologicznych, które się rozmnażaniem tego gatunku zajmowały. Nie było zresztą po temu specjalnej potrzeby. Właściciele rezerwatów jak i Ogrody Zoologiczne traktowały tę sprawę ze znawstwem i pełnym rozumieniem wartości już nie tylko zabytkowej, ale i realnej przedstawicieli tego gatunku, gdyż w 1941 r. krowa żubrza sprzedana do Holandii osiągnęła cenę z górą 20 tys. dolarów.



„Poganka" i „Polana"
Zdjęcie z listopada 1946 r.

Niebezpieczeństwo, któremu starało się zapobiec Towarzystwo groziło skąd inąd. Po wyginięciu stada białowieskiego nie byo już nigdzie pierwotnego, rodzimego ośrodka żubrów. W wielu miejscach zaś, w braku tak drogich czystych krów żubrzych poczęto robić krzyżówki pomiędzy żubrem a bizonem amerykańskim. Ponieważ zaś, szczególnie w dalszych pokoleniach, tak urodzone mieszańce wyglądem całkiem nie różnią się od czystych żubrów, zachodziła obawa, że z czasem w ogóle nie będzie można być pewnym, czy z żubrem czy z mieszańcem — w którego potomstwie jednak zawsze można się spodziewać wystąpienia jakichś cech bizonich,— będzie się miało do czynienia. — To też olbrzymim nakładem wysiłków podjęło Towarzystwo detektywistyczną pracę prześledzenia genealogii wszystkich zgłaszanych żubrów i dopiero po dokładnym ustaleniu, iż są one potomkami w prostej linii, bądź przodków białowieskich, bądź kaukaskich (gdyż i tam zachowało się parę czystych stad żubrzych) nadawano im numer ksiąg rodowodowych. Takich zeszytów ksiąg rodowodowych wydano przed wojną trzy. Robotę tę prowadzili przede wszystkim Niemcy, to też i księgi rodowodowe wydawane były w języku niemieckim.

Od r. 1937 jednak sumiennej pracy nad genealogią żubrów zaprzestano. Do Zarządu Towarzystwa i tak już zmajoryzowanego przez Niemców dostali się członkowie partii nazistowskiej, których celem było wykazanie, w jak szybkim tempie Niemcy hitlerowskie potrafią rozmnożyć to „pragermańskie" zwierzę.

Dlatego też tendencją było uznać wszystkie mieszańce za żubry czyste, aby móc i tak nieorientującej się w niczym publiczności przedstawiać stada bastardów, jako żubry pełnowartościowe. W takim rezerwacie w Schorfheide zgromadzono ich na przykład przeszło dwieście sztuk. Było to tym bardziej ważne, że Polska, która starannie i z pietyzmem prowadziła swoje hodowle w przeciągu dziesięciu lat, to jest do 1939 r. już dognała Niemcy mając czystych żubrów trzydzieści sztuk. Jak wspomniałem obecnie my właśnie przodujemy, mając w swoim kraju z górą 50 procent żubrów istniejących w świecie. Tym ważniejsze jednak byłoby kontynuować przerwaną świadomie przez Niemców pracę nad rodowodem żubrów, a przede wszystkim ponownie ustalić, które sztuki są rzeczywiście czyste.

(Dokończenie obok)

Józef Bartosik

Zima w Skapa Flow

W każdej instytucji znajdują się lepsze i gorsze posady. Rzadko która dysponuje tak wspaniałym przydziałem karnym, jak Brytyjska Marynarka. Jest nim Scapa Flow. Gdyby kościół anglikański uznawał świętych, jedna tam spędzona zima mogłaby śmiało posłużyć za podstawę do kanonizacji.

Położone daleko na północy wyspy Orknejskie, leżą w rejonie ścierania się silnych prądów morskich i atmosferycznych. Spychane na północ wzdłuż Irlandii i Szkocji ciepłe wody Atlantyku, trafiają tu w miejsce, gdzie bariera nagle się urywa. Wąską, poprzeczną gardzielą prą w tej okolicy z Morza Północnego zimne warstwy wody. Podobnie ma się rzecz z wędrującymi z Islandii niżami. W całej chyba Europie nie ma miejsca równie wietrznego, jak ta niewielka konstelacja wysp. Jest ich około dziesięciu, a ułożone są w ten sposób, że pomiędzy sobą tworzą redę, szeroką gdzieniegdzie na kilkanaście mil.

W jednej z odnóg tej redy, pomiędzy dwoma wyspami znajduje się główne kotwicowisko floty. Z boi, na których stoją okręty, nie widać nic prócz gołych, pokrytych mchem, wzgórz. Nie ma na nich ani śladu zwierząt, ani roślinności. Jedno jedyne drzewo rośnie w stolicy wysp, Kirwall, za wysokim kościelnym murem. Na tle tej gołej martwoty trochę dziwnie wyglądają pancerne kolosy.

Pierwszy raz trafiliśmy do Scapa Flow po dłuższym remoncie, który przeciągnął się aż do Bożego Narodzenia. Przyszliśmy tam dla przeszkolenia załogi. Z reguły zajmowało ono od czterech do sześciu tygodni. W naszym wypadku, nie wystarczyło na to cztery miesiące. Bo ilekroć podnosiliśmy już kotwicę, aby wyjść na strzelanie, w ostatniej chwili, albo holownik przysłał sygnał, że fala na zewnątrz jest za duża na tarczę, musi więc z nią zawrócić, albo też samolot bał się startować z powodu wichury.

W rezultacie całą zimę spędziliśmy na kotwicy — sztormując.

Tymczasem kotły trzymane były pod parą, a na pomoście stała normalna wachta — jak w morzu. Wichura dęła często z taką siłą, że i kotwica sama nie była w stanie utrzymać okrętu w miejscu. Dla ulżenia jej pracowaliśmy śrubami, oczywiście na niewielkiej ilości obrotów, podczas, gdy sternik starał się utrzymać dziób okrętu pod wiatr.

Czasem zdarzało się jednak, że pomimo pracy maszyn i tak dryfowaliśmy. Były noce, kiedy cała flota szorowała kotwicami po dnie. Okręty pchały się wtedy jedne na drugie, w ciemnościach porykiwały syreny. Na dziobie nie można było ustać, wichura bowiem zbijała z nóg. Aby dotrzeć do kotwicy trzeba się było oburącz windować po relingu. Na pomoście, dla przekazania rozkazu, musiało się krzyczeć na całe gardło wprost do ucha sąsiadowi — i to po kilka razy — zanim dosłyszał.

W takich okolicznościach, pewnego wieczoru otrzymaliśmy zwykły sygnał ostrzegawczy: — „Podnieść parę dla zapewnienia własnego bezpieczeństwa!" („Raise steam to ensure safety!"). Barometr spadał tak szybko, że przed zapadnięciem zmroku rzuciliśmy jeszcze drugą kotwicę. Było już zupełnie ciemno, gdy z naszej lewej burty wyłoniło się czerwone światło. Oto jakiś statek handlowy pchał się prosto przed nasz. W ciemnościach dostrzegaliśmy z grubsza jego zarysy. Wyglądał na ciężko obładowany, siedział bowiem głęboko w wodzie. Wysforował się już przed nas na wiatr, o jakieś dwa kable przed dziób, gdy doszedł nas zgrzyt jego łańcuchów i terkot windy. Intruz zakotwiczył w najbardziej niepożądanym dla nas miejscu.

Koło północy wichura przybrała rozmiary huraganu. Zegar na pomoście wskazywał jej siłę — jedenaście! Nagle, pomiędzy jednym, a drugim zrywem śnieżycy, bardzo blisko przed naszym dziobem mignęło światło. Po chwili ukazało się znowu, tym razem trochę bardziej w prawo. Zapaliliśmy reflektor. — W fioletowej jego smudze, poszatkowanej zamiecią, zarysowała się szeroka, rozłożysta rufa statku. Był to ten sam, który z wieczora zakotwiczył przed nami. Odchylał się teraz intensywnie w prawo, coś jednak wyglądało na to, że na powrotnym łuku wlezie nam na dziób, lub zaplącze się śrubą w naprężone łańcuchy.

Przykuci do miejsca kulami dwóch kotwic — byliśmy bezradni. Zaczęliśmy więc wzywać statek Aldisem. Początkowo nie odpowiadał, w końcu zgłosił się jednak. Powiedzieliśmy mu, żeby sobie poszedł, sami bowiem nie jesteśmy w stanie się ruszyć. Statek kwitował odbiór jakoś kulawo, jakby bez przekonania. W pewnej chwili nawet przestał w ogóle odpowiadać. Tymczasem znosiło go wyraźnie coraz bliżej na nas i znajdował się już na powrotnym łuku.

Reflektor nasz nie spuszczał go z oka. Snop fioletowego światła drżał teraz bez przerwy na ciemnym szerokim masywie rufy. Pozostawiony na samym dziobie obserwator, meldował przez telefon, że odległość ocenia na pięć metrów.

W tej sytuacji ponowiliśmy wzywanie światłem. Nikt jednak się nie zgłosił. Dopiero wycie gigantofonu wyrwało statek z odrętwienia. Na jego pomoście mrugnęła wreszcie lampa sygnałowa. Powiedzieliśmy wtedy krótko:

— Won!

I tym razem jednak zupełnie zignorowano nasz sygnał. Wobec tego powtórzyliśmy wołanie, dodając:

— Odejdźcie stąd, bo inaczej otworzymy ogień!

To poskutkowało — z pomostu zaczęła mrugać lampa. Statek odpowiedział krótko:

— Jestem załadowany amunicją!

Mniej odpornym, pod zaśnieżonymi kapturami włosy stanęły dęba.

W rezultacie pozostało nam tylko jedno: — luzować resztę własnych łańcuchów. Ile się da! Może w międzyczasie handlarz sięgnie po rozum do głowy i ruszy z miejsca.

Do luzowania potrzebna była obsada. Posłaliśmy więc wachtowego, żeby jak najprędzej obudził kogo trzeba. Biedak tak się przejął tym rozkazem, że podbiegł do rozgłośni i wrzasnął w mikrofon:

— Wszyscy na pokład! Niebezpieczeństwo od dziobu!

Jego głos zabrzmiał w takim podnieceniu, że ludzie w zaciemnionych pomieszczeniach zaczęli wyskakiwać z hamaków, jeden przez drugiego — byle szybciej. (Kto przeżył wojnę na morzu i przez lata całe kładł się co noc do hamaku z tą świadomością, że obudzić się może już w wodzie, jeżeli nie zgoła na tamtym świecie, ten wie, do jakiego pośpiechu zdolni są marynarze.

Bose pięty dudniły teraz po trapach i schodniach. Ludzie wybiegali, jak spali — w krótkich, marynarskich koszulach, niektórzy w kalesonach, wszyscy prawie nago. W dodatku ktoś krzyknął:

— Dmuchać pasy!

Równocześnie jakiś inny wojownik zaczął nawoływać:

— Do dział! Do dział!

Na pomoście nikt nie słyszał zapowiedzi rozgłośni. Pierwszym zwiastunem, że coś tu nie jest w porządku, było pojawienie się „Oerlikonowca". Wśród szalejącej zamieci śnieżnej wypadł on nagle z łuku, świecąc gołymi pośladkami i rzucił się od razu do odkrywania pokrowca ze swego działka i to w takim pośpiechu, jakby cała „Luftwaffe" na nas waliła. W pierwszej chwili wydawało się, że to duch. Zanim zdążyliśmy pojąć, co się stało, z dalocelownika przyszedł meldunek:

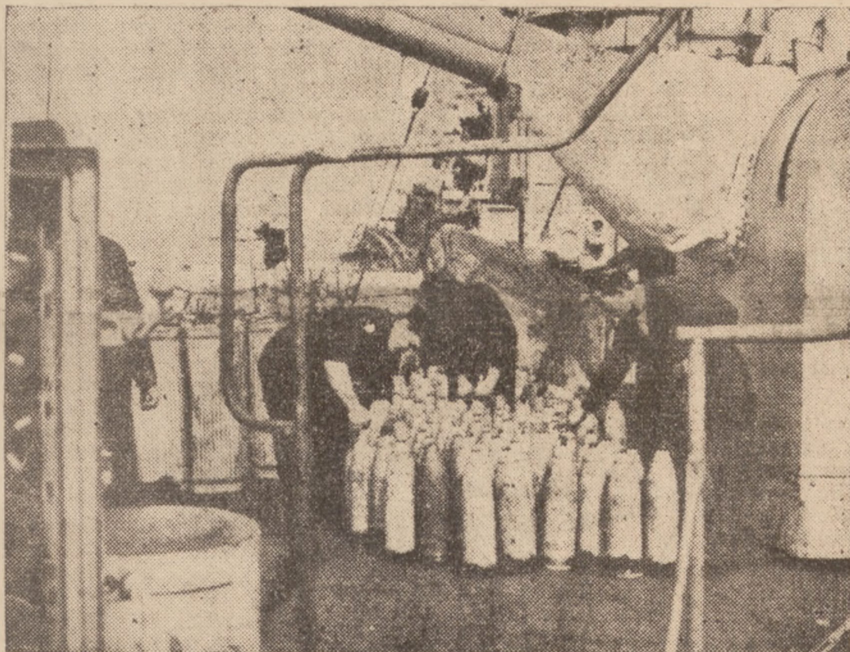
— Działa obsadzone, artyleria gotowa!

Nie wiadomo, czy sąsiedni statek naprawdę dostrzegł, że nasze działa drgnęły, czy wreszcie obudził się ze swojej drętwoty, dość na tym, że zakręcił śrubą, wyciągnął kotwicę i — poszedł sobie precz, gdzieś w śnieżycę.

Tymczasem u nas dwa krótkie dzwonki odesłały nagich wojowników do ich ciepłych jeszcze hamaków. Wszystko ostatecznie skończyło się na tym, że doktor - opiekun przyszedł z propozycją wydania rumu.

— Oczywiście, tylko mniej odpornym — argumentował. — Tylko tym, którzy tej nocy bez rumu mogliby się przeziębić.

Fragment z książki kpt. mar. woj. Józefa Bartosika, która ukaże się niebawem pod tytułem „Wierny Okręt", nakładem Instytutu Wydawniczego „Kolumna"



Działa obsadzone, artyleria gotowa!

ŻUBR URATOWANY

(Dokończenie)

Praca ta tym razem przypadła Polsce. Zjazd Dyrektorów Ogrodów Zoologicznych w Rotterdamie we wrześniu 1946 r. działając na prawach Zarządu Międzynarodowego Towarzystwa, zwrócił się do Polskiego Oddziału M.T.O.Z. o podjęcie tej pracy. Została ona wykonana i obecnie księgi rodowodowe po dziesięcioletniej przerwie znajdują się w druku i w najbliższym czasie ukażą się na naukowym rynku międzynarodowym ugruntowując imię Polski nie tylko jako tego kraju, który potrafił osiągnąć najlepsze rezultaty hodowlane, ale również zdołał po zamieszaniu wojennym przeprowadzić teoretyczne badania nad usunięciem powstałych powikłań i nieścisłości.

KSIĘGI

RODOWODOWE ŻUBRÓW

WYDAWNICTWO MIĘDZYNARODOWEGO TOWARZYSTWA OCHRONY ŻUBRA

POD REDAKCJĄ Doc. Dra JANA ŻABIŃSKIEGO



PEDIGREE BOOK OF THE EUROPEAN BISON

PUBLISHED BY THE INTERNATIONAL SOCIETY FOR THE PROTECTION OF THE EUROPEAN BISON

Dr JAN ŻABIŃSKI

WARSZAWA

Strona tytułowa ksiąg rodowodowych żubrów, które niebawem ukażą się w opracowaniu polskim.

HELIODOR KUC

AGATKO, GDZIE TY?

WSZYSTKO TO JESZCZE NIE

Satyryczno-parodystyczna POWIEŚĆ KRYMINALNA

VII.

(Ciąg dalszy)

Wzmiankowany już poeta Grot, czuły i czujny jak kameleon na wszystkie przejawy życia, ogłosił natychmiast w „Pasikoniku", piśmie przeznaczonym dla dzieci, przepiękny wiersz pt. „Strapionej Matce zespolony z nią w macierzyńskim uczuciu, wiersz ten poświęcam i przypisuję". Pozwalamy sobie na tym miejscu wiersz przedrukować, jako wzniosły pomnik uczucia:

Na oknie deszczowa łuska.
Chwieją się w górze rolety,
A serce matki ból muska...
Agatko, gdzie ty?

Agatko moja słodka,
Gdzieś mi się podziała?
W którą stronę, w którą
Krainę się udała?

Za oknem deszcz pada skośnie,
Chmurami mieni się szyba...
W pięciomiesięcznej swej wiośnie
Nie możesz zginąć chyba?

Po szybie krople w dół płyną,
Myśl pragnie za tobą pobiec...
Gdzie jesteś, moja dziecino?
Odpowiedz matce, odpowiedz...

Szyba jest taka omglona,
Na niebie cień się położył...
Z tęsknoty mamże dziś skonać,
Czy we łzach żyć wciąż, o Boże!

Wiersz wywołał podwójny efekt — możnaby powiedzieć: pozytywny i negatywny. Pozytywny w tym znaczeniu, że naczelna dyrekcja Rady Szkolnej wydała natychmiast zarządzenie, ażeby wiersz był wprowadzony do wszystkich czytanek szkolnych i recytowany na uroczystych obchodach młodzieżowych, związanych ze zniknięciem Agatki. Złośliwcy (a któż nie ma wrogów i zazdrośników?) mówili sobie na ucho, że wiersz przyniósł znaczny dochód znakomitemu poecie, umożliwiając mu dłuższą podróż zagraniczną, celem nawiązania kontaktów literackich.

Co się tyczy, jakeśmy rzekli, efektu nagatywnego, była nim natychmiastowa krytyka wiersza pióra innego doskonałego poety, ukrywającego się pod pseudonimem Philosophusa, a opublikowana w „Kuj Żelazo". Philosophus stawiał Grotowi jeden tylko zarzut, ale zdawałoby się miażdżący i nie do odparcia, mianowicie ten, iż wiersz jest **antyrealistyczny**. „W czasach — pisał Philosophus — gdy pierwszym i naczelnym zadaniem literatury jest najwierniej odtwarzać rzeczywistość, gdy każdy pisarz powinien być li tylko i wyłącznie — podkreślam to z naciskiem — faktografem, Grot pozwala sobie na podobną fantazję i chimerę, jak wprowadzenie do swego utworu motywu deszczu; powtarza kilkakrotnie: deszczowa łuska (nawiasem mówiąc, co to ma znaczyć? Łuska może być tylko rybia) deszcz pada skośnie, krople w dół płyną i tp. Wiemy zaś, że od kilku tygodni kropla deszczu nie spadła w Haparandzie, pogoda jest wciąż słoneczna, co zresztą cechuje na ogół nasz klimat w ciągu dziesięciu miesięcy na rok"...

Ale Grot, nie w ciemię bity, odparował z łatwością zarzut, mający poniekąd zabarwienie socjalne. „Zdaje się — pisał ironicznie w „Wiadomościach Staroświeckich". — zdaje się, że Philosophus jest wyznawcą tzw. małego realizmu, czyli po prostu patrzenia na własny pępek. Wielki realizm polega na transformacji i deformacji realiów — niech to sobie Philosophus zapamięta — aby z nich tym sposobem tworzyć nową, lepszą i doskonalszą rzeczywistość. Ponadto jasną jest rzeczą, że gdy nasza gubernatorowa tonie we łzach z rozpaczy, cała natura powinna i musi wziąć udział w jej boleści. Jeśli tego nie czyni, tym gorzej dla niej. Co się tyczy łuski deszczowej, nie będę nawet na ten temat dyskutował. Już Przyboś"... Itd.

Te niezbite argumenty Grota zamknęły usta nie tylko Philosophusowi, ale i innym, jakeśmy ich nazwali, złośliwcom i zazdrośnikom.

Niemniej ważki w swej treści był felieton popopularnej autorki haparandzkiej Eulalii Kier, ogłoszony w postępowym czasopiśmie pt. „Pani Wytworna":

„Pamiętam — czytano w nim ze łzą: — pamiętam, jakgdyby to było dziś, a przecie od owej chwili minęło prawie pół wieku. Dziesięcioletnia zaledwie, prześliczna dziewczynka, wywołująca już wówczas zachwyt mężczyzn, biegłam raz śpiesznie do szkoły SS. Sakramentek, skracając sobie drogę przez park miejski. Nagle doszedł mnie cichy płacz dziecięcia. Obejrzałam się dokoła: nikogo w pobliżu nie było. Słuchałam przerażona: płacz coraz wyraźniejszy, jakby z dołu pochodzący. Nachylam się — a w krzakach leży maleńka, prześliczna dziecina, zaledwie spowita w pieluszki. Porywam ją w ramiona, osypując pocałunkami. Pieluszki się rozwijają: widzę ze wzruszeniem, że to chłopczyk. Nagle w alei ukazuje się policjant. „Co tu panienka robi? — pyta surowo: czyje to dziecko?" — „Moje! — zawołałam, nie zdając sobie jeszcze sprawy z tego że palnęłam głupstwo: — znalazłam je właśnie w krzakach". — Policjant uśmiechnął się. Musiałam być rozkoszna w swej rozbrajającej naiwności. — „Psiakrew — powiedział: — znowu podrzutek". — „Podrzutek? — wyszeptałam w najwyższym zdumieniu, gdyż po raz pierwszy w życiu usłyszałam to słowo: — co to znaczy? „Niech panienka lepiej idzie do szkoły — skarcił mnie łagodnie stróż porządku publicznego, biorąc z mych rąk kwilące niemowlę: — ja już się tym zajmę". — Oddalił się szybko, zostawiając mnie na pastwę pierwszego głębokiego przeżycia. Zrozumiałam wówczas cały ból matki, której odbierają dziecko, pojęłam tragedię niewinnej dzieciny, rzuconej gdzieś w krzaki... Chwila ta stanęła mi żywo w pamięci dzisiaj, gdy się dowiedziałam o ciosie, który poraził naszą miłą, kochaną i dobrą gubernatorową. I jej Agatka, jak tamto dzieciątko, przeżywa swą pierwszą tragedię opuszczenia i wydarcia z objęć kochającej matki. I ona skamieniała w boleści, jak Niobe, miotana jest tym straszliwym uczuciem krzywdy, jakiej ja doznałam, gdy okrutna ręka obcego człowieka sięgnęła po maleństwo, które jeszcze przed chwilą tak czule pieściłam..."

Prawdziwą sensację polityczną wzbudził artykuł świetnego publicysty, redaktora Nermica, ogłoszony w czasopiśmie „Siedem Dób". Artykuł nosił tytuł „Tak i nie" i w subtelnie alternatywnej formie, igrającej niejako przeciwnościami, przeprowadzał



Jeden ze znakomitych profesorów uniwersytetu haparandzkiego miał odczyt pt. „O porywaniu dzieci w świetle najnowszej pedagogiki"...

Rys. W. Siemiątkowski

zdrową myśl polityczną. „Czy Agatka została porwana? — zapytywał artykuł: — Tak. Ten smutny i bolesny fakt, który pogrążył w żałobie całą Haparandę, niemniej jest faktem. Ale czy porwana została na zawsze? Nie. Z całą stanowczością i w niezłomnym poczuciu odpowiedzialności, w imieniu całego naszego grodu mówimy: nie! po stokroć, po tysiąckroć — nie! Czy władza wszystko czyni, co do niej należy, aby jak najszybciej odnaleźć dziecinę? Tak. Albowiem władza zawsze czyni wszystko, co do niej należy. Czy jednak olbrzymi wysiłek władzy wystarczy tym razem, żeby dopiąć celu? Nie. Całe społeczeństwo, bez różnicy przekonań i płci, od pacholąt do starców siwowłosych, winno się zjednoczyć w gigantycznym wysiłku dopomożenia władzy. W obliczu wypadku, jaki nami wstrząsnął, niechże będą na zawsze zapomniane gorszące spory partyjne, interes osobisty, egoizm klasowy. Tak! wołamy: niech się nareszcie tak stanie..." Itd.

Artykuł wywołał nadspodziewanie szybki oddźwięk, i idee jego w pewnych kołach społeczeństwa zostały natychmiast zrealizowane, jak się zaraz o tym przekonamy. Tymczasem z przykrością musimy zanotować jeszcze jeden głos, jaki się ozwał w sprawie Agatki.

Niestety, niemasz na świecie absolutnej harmonii. W zgodnym chórze serdecznych uczuć i sympatyj, jakie ożywiały społeczeństwo haparandzkie, jaskrawym zgrzytem zaskrzypiał felieton, jaki się ukazał w „Dzienniku Elitarnym", piśmie konserwatywnym i opozycyjnym. Ale Politania... Tu winniśmy przeprosić czytelnika, żeśmy go dotychczas nie poinformowali, iż Haparanda[1]) leży w Politanii. Uczeni politańscy od dawna wiedli spór naukowy o pochodzenie nazwy swego kraju. Jedni dowodzili, że słowo „Politania" jest złożone z dwóch pierwiastków: greckiego „poli", oznaczającego wielość, powszechność, i z rodzimego „tan" czyli pląs. Tym sposobem, Politania znaczyłaby „wszechpląsy", „wszechtaneczność", co pozostawałoby w zgodzie z odwiecznym charakterem mieszkańców kraju, ich wesołym usposobieniem oraz z dobrobytem i szczęśliwością, w jakie Politania od zarania swych dziejów opływała. Inni badacze, np. wybitny językoznawca prof. Bakałarz, utrzymywali, że etymologia wyrazu Politania jest całkowicie grecka, i wywodzi się od słowa „politeia", co znaczy: państwo, państwowość. I taki źródłosłów — twierdzili — właśnie odpowiada charakterowi Politanów, którzy są niezmiernie uspołecznieni, i od dawna wytworzyli doskonałe zręby swego ustroju socjalnego i politycznego. Ze swej strony nie będziemy rozstrzygali trudnego sporu. Napomknęliśmy o nim z obowiązku, że się tak wyrazimy, kronikarskiego, i z obowiązku tegoż zaznaczamy, że Politania była monarchią demokratyczną, parlamentarną i konstytucyjną, dziedziczną w dynastii Ildefonsów. W okresie, gdy się toczy akcja naszej powieści, panował w niej król Konstanty II Ildefons, monarcha sędziwy już, lecz pełen wigoru, jak o tym mogliśmy się przekonać z rozmów jakie wiedli o nim urzędnicy gubernatorstwa. Zarówno te swobodne rozmowy, jak i felieton w „Dzienniku Elitarnym", mogły mieć miejsce tylko dzięki temu, że w Politanii przestrzegana była konstytucja. I ten fakt właśnie chcieliśmy podkreślić.

„Głęboki upadek moralności, rozluźnienie obyczajów, załamanie się życia rodzinnego i zachwianie podstaw religijno-etycznych — pisał w artykule „Kto mieczem wojuje" felietonista „Dziennika Elitarnego" redaktor Budyń[2]): — są dzisiaj objawem nagminnym, rozpanoszonym zastraszająco w naszym społeczeństwie. Nie będziemy wskazywali na przyczyny tego smutnego zjawiska, nie chcąc się narażać na jeszcze jedną konfiskatę. Ale każdy zdrowo myślący człowiek rozumie, o co nam chodzi. I bez wytykania palcem wiemy, gdzie szukać źródła zła. Gdyby nie uczucia humanitarne, które żywimy w tej chwili (podkreślamy słowa: w tej chwili) dla gubernatora i jego rodziny, zacytowalibyśmy pewne staropolitańskie przysłowie: kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie. Władza, w przymierzu z masonerią, zapomniała o nim. Zapomniała, że wszelki zły czyn człowieka musi się wreszcie przeciw niemu samemu obrócić. Zapewne — porwanie Agatki mrozi nam krew w żyłach i wywołuje okrzyk przerażenia na usta. Jednakowoż władza, która tłumi wszelki odruch sumienia narodowego, która wprowadza małżeństwa cywilne i zamierza nawet zmusić ustawowo ojców kapucynów do małżeństwa — taka władza nie zasługuje na szacunek..." I tam dalej.

Bardzo żywo i spontanicznie na tragiczny wypadek zareagowało Radio Haparandzkie. Poczęło ono ogłaszać dwa razy dziennie, przed gimnastyką ranną i przed wieczornym koncertem życzeń, wezwania do społeczeństwa, nawołujące do poszukiwań Agatki. Prócz tego zorganizowano specjalną audycję. Jeden ze znakomitych profesorów uniwersytetu harapandzkiego miał odczyt p.t. „O porywaniu dzieci w świetle najnowszej pedagogiki", po czym nastąpiły recytacje stosownych wierszy pióra najwybitniejszych poetów z grupy „Pasikonika", w końcu profesor konserwatorium dr Fagot odegrał umyślnie skomponowaną symfonię tragiheroiczną. Audycję zamknął gorący apel dyrektora Radia do wszystkich radiosłuchaczów z prośbą o nadsyłanie listów i uwag w sprawie porwania Agatki. Listy te, oprawione w piękny album i ofiarowane w hołdzie pani gubernatorowej, miały się stać konkretnym dowodem tego żywiołowego udziału, jaki wzięła rodzina radiosłuchaczów w nieszczęściu, które spadło na dom ukochanego gubernatora.

---

[1]) Zarówno Haparanda jak Tarapaka tudzież inne nazwy miejscowości, jakie będą wymienione w dalszym ciągu, nie są bynajmniej zmyślone. Wszystkie je można znaleźć w „Słowniku geograficznym" Trzaski i w „Encyklopedii" Gutenberga.

[2]) W tym miejscu musimy wspomnieć znakomite o przebogatej skali smaków, niedościgłej jakości budynie „Społem", niezastąpione w gospodarstwie domowym. Do nabycia we wszystkich spółdzielniach i sklepach kolonialnych na terenie całego kraju. Wystrzegać się falsyfikatów! Oryginalne tylko z napisem „Społem"! (Przyp. autora).

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

CZY ZAWSZE KOBIETA JEST NAJWAŻNIEJSZA W ŻYCIU MĘŻCZYZNY

W swoim czasie toczyła się na łamach „Tygodnia" dyskusja o duszy „gefangena". Dwie armie: „powstańców" i „gefangenów" wytoczyły co cięższe „kolubryny" i bombardowały się nawzajem.

Przeczytałem uważnie wszystkie artykuły na ten temat i doszedłem do wniosku, że ktoś, kto tam nie był — w dalszym ciągu nic właściwie nie wie i z artykułów tych dużo się nie dowiedział. Poszczególne fragmenty życia obozowego były opisane o tyle, o ile były potrzebne, ażeby udowodnić, że gefangeni byli lub nie byli normalni.

A propos „normalni"... Słyszałem to słowo w obozie dużo razy. Zadawano mi wprost pytanie, czy ja, który przyszedłem prawie z „innej planety", bo jako spadochroniarz żyłem stosunkowo krótko pod okupacją niemiecką mogę obiektywnie i szczerze odpowiedzieć, czy uważam moich kolegów po blisko 6-cioletnim okresie niewoli za ludzi normalnych?

Otóż dziś jak i wówczas mogę na podstawie swoich obserwacji szczerze odpowiedzieć, że — bezwzględnie tak. Ośmielam się zabrać głos po przeczytaniu tego wszystkiego, co się na ten temat napisało. Mało tego — ośmielam się oświadczyć, że nie zgadzam się (w przeważnej części) ani z p. Domaniewskim ani z p. Sadzewiczem. Moim zdaniem ani p. Domaniewski który napisał, że „drobny handelek czekoladą i papierosami — to był ich świat" i że „studiowali po kilkanaście godzin na dobę jakieś zupełnie niebywałe rzeczy", ani p. Sadzewicz, który pisząc o życiu kulturalnym w obozie podaje, że „był teatr, a nawet dwa teatry (wielka i mała scena) z chórami, baletem, bogatym, zmiennym i różnostronnym repertuarem, wspaniała kostiumeria" (z czego?...) — nie wyczerpali zagadnienia.

Jeżeli to już jest „proces" jak to nazwał żartobliwie p. Cybulski, to należałoby dobrze zapoznać się z „materiałem dowodowym". Szkoda, że „ani tu czas, ani miejsce na monografie obozu jeńców", jak napisał p. Sadzewicz, bowiem jest to sprawa, która w historii martyrologii Polski jest sprawą ważną, o której należałoby poinformować rodaków, ponieważ „około 20 tysięcy oficerów, a więc mężczyzn w sile wieku" przez blisko 6 lat walczyło, o to aby właśnie być „normalnymi" i powrócić do normalnego życia dla dobra państwa i narodu polskiego. Należałoby odpowiedzieć na pytanie w jaki sposób i z czego czerpali oni tę siłę i niepozwolili się wepchnąć w stadium krańcowej abnegacji i zidiocenia... Pragnąłbym, aby moje wspomnienia, które pochodzą tylko z kilku pierwszych dni pobytu w obozie Grossborn II D, choć w części odpowiedziały na te pytania.

* * *

Kiedy przepuszczono nas przez „magiel" kilkugodzinnej rewizji, zmiany ubrania (z cywilnego na mundur) i łaźnię, kiedy wyszedłem nareszcie na teren obozu — zobaczyłem grupę oficerów, która uformowana w półkole zajmowała się przyjmowaniem „nowoprzybyłych". Natychmiast zostałem przez nich otoczony — sprawdzono mój przydział do baraku i od tej chwili zaczęto się opiekować mną jak nieletnim dzieckiem.

Czekał już na mnie oficer z baraku, gdzie miałem mieszkać. Robiąc „honory domu" prowadził na nową kwaterę. Z miejsca zabrano mi nadmiar rzeczy, „żebym się przypadkiem nie zmęczył". Otoczony pokaźną grupką szedłem czując atmosferę przyjaźni i serdeczności, jaką każdy z nich starał mi się okazać.

Kieszenie mego munduru napełniały się błyskawicznie najprzeróżniejszymi prezentami jak czekoladą, papierosami, chustkami do nosa itp.

Dosłownie odnosiło się wrażenie, że ci ludzie chcieliby ze skóry wyskoczyć, ażeby mi zrobić jakąś przyjemność i w czymś pomóc. Koło jednego z baraków zobaczył mnie i poznał mój kolega szkolny, pijarczyk — Zygmunt Z. Od tej chwili nie odstępował mnie już. Był moim cicerone i opiekunem w obozie.

Pierwsze godziny upływały na rozmowie ze wszystkimi i o wszystkim. Pod wieczór Zygmunt „na siłę" wyciągnąwszy mnie z grona kolegów postanowił pokazać mi obóz.

Proszę sobie wyobrazić około 85 dużych trzyizbowych baraków postawionych na terenie, którego obwód miał ok. 1,5 km. Żyło w nich około 6.000 oficerów.

Do ilustracji na str. 16

— Najpierw pokażę ci teatr — powiedział Zygmunt — naszą największą dumę obozową. Właśnie dziś nasza orkiestra daje koncert muzyki poważnej.

Na magiczne słowo: „powstaniec" otworzyły się drzwi dużego baraku— zostaliśmy wpuszczeni bez biletów i bez żadnego słowa sprzeciwu, do środka. Świat zmienił się nie do poznania. Znikł gdzieś obóz z jego szarzyzną. Zostały gdzieś poza mną przykre chwile rewizji. Od progu przywitały mnie tony „Symfonii Zwycięskiej" Beethovena. Na dużej scenie grała we frakach pełna orkiestra symfoniczna, jakiej nie powstydziłaby się niejedna scena koncertowa.

— Więc tym mnie witacie — myślałem wzruszony — mnie zmordowanego 63-dniową walką powstańczą. Wy, którzy 6 długich lat żyjecie za drutami.

— Czy mam to uważać za znak opatrzności, że nie wszystko jeszcze przepadło i że choć walka była nierówna, do nas należeć będzie zwycięstwo?...

Widownia zastygła niemal. Znać było na twarzach, że odbywa się tu niemal jakieś misterium. Takiego audytorium nie widziałem jeszcze na żadnym koncercie. Ludzie byli tak zasłuchani, że robili wrażenie jakgdyby bali się oddychać.

— Czy wiesz — szepłał Zygmunt— że te wszystkie boazerie i sztukaterie wnętrza są robione z kawałków tektury. Każdy mieszkaniec obozu gorliwie znosił dla teatru pudełka od paczek... Czy wiesz, że Abwehra nie dała ani jednego gwoździa i że wszystko jest własnym przemysłem zdobyte... Że każdy gwóźdź jest ukradziony z innego miejsca? A gwoździ tych jest kilka tysięcy...

To było motto do moich wędrówek po obozie. To była odpowiedź na pytanie „z czego?" i „w jaki sposób?" Każda rzecz miała swoją historię. Swoją historię miały fraki robione z worków i kolorowane farbą z chemicznych ołówków. Nici prute z ręczników i starej garderoby itd. I nie dość napisać, że były dekoracje, tygodniki, szkoły rzemiosła, pracownie malarzy, znaczki pocztowe itp. Ale przede wszystkim trzeba zwrócić uwagę na to — z czego to powstawało. Była to twórcza praca, genialne pomysły, walka mózgów o to, aby oszukać Abwehrę i tym właśnie ci ludzie bronili się od szaleństwa. Czy można ogólnie i z lekkim sercem powiedzieć; że ci ludzie byli nienormalni? Nigdy!

W środowisku liczącym przeszło 6 tysięcy osób byli tacy, którzy nie poszli z prądem. Zapadli w krańcową bezczynność, ale takich było niewielu. Ja natomiast zaryzykowałbym napisać o tym zupełnie co innego. Otóż nikt nie podkreślił faktu, że część oficerów przebywających w obozie uzupełniała i pogłębiała swoje wykształcenie. Bo proszę pamiętać o tym, że około 50% byli to młodzi oficerowie zawodowi. Ludzie ci przed wojną zajęci od rana do nocy służbą w wojsku, często nie byli w stanie i nie mieli czasu na studia inne poza wojskowością. Znalazłszy się w obozie zetknęli się z oficerami rezerwy o najrozmaitszych zawodach i wykształceniu. Zaczęły się wykłady, a następnie poważne studia. Czy uczono się „jakichś zupełnie niebywałych rzeczy?" Nie! Uczono się historii, malarstwa, języków obcych, prawa, pogłębiano wiedzę w studiach technicznych itp. Biblioteka obozowa posiadała kilkadziesiąt tysięcy tomów i była dzięki różnym Czerwonym Krzyżom zaopatrzona w najnowsze wydania.

Odwrotnie — ci z oficerów rezerwy, których to interesowało pogłębiali swoją wiedzę wojskową na kursach prowadzonych przez oficerów dyplomowanych i speców różnych rodzajów broni. Sceptykom odpowiadam, że nie studiowano tam „bitew koło Kłuboczka Wielkiego" tylko najbardziej aktualne rozgrywki z bieżącej wojny. Radio i prasa dostarczały aż nadto materiału informacyjnego i wyczerpującego. A radio było. Było przez kilka lat i Niemcy go nigdy nie znaleźli.

Oglądałem świetnie zorganizowany sklep komisowy, gdzie można było to stać dosłownie wszystko z żywności, ubrania, rzeczy użytku codziennego. Przyjrzałem się doskonale funkcjonującej poczcie. Widziałem wystawy szkół malarskich i rzeźbiarskich o najrozmaitszych kierunkach. Osobny artykuł można napisać o rzemiośle obozowym, o tych cudach, które tam powstawały, (o ręcznie robionych ze stopu monet bransoletach, o inkrustacji w drzewie, o różnych przyrządach i przyrządzikach — maszynkach do golenia, grzebieniach itp.).

Dlatego też nie należy się dziwić, że z biegiem czasu wytworzył się w obozie krąg własnych, najbliższych zainteresowań. Temu zapewne należy zawdzięczać, że byłem świadkiem pewnego komicznego zdarzenia:

Jednemu z kolegów przysłała narzeczona list i dołączyła fotografię. Zdjęcie przedstawiało młodą, urodziwą niewiastę, opartą o rozłożysty pień drzewa. Rozanielony pokazuje z dumą fotkę kolegom i zwracając się do jednego ze swoich przyjaciół pyta:

— No, Tadek, jak ci się podoba?

— Bardzo! — pada odpowiedź — ale tyle drzewa... dodaje z melancholią.

Czyż można się temu dziwić? Niewiasta, owszem... ładna... ale drzewo jest w tej chwili ważniejsze. Drzewa brak. Codziennie trwa walka o nie. W barakach jest zimno. Niewiasta jest daleko i niewiadomo kiedy będzie blisko, a zimno jest stale i coraz dokuczliwiej daje się we znaki. Nic dziwnego więc, że wszystko było ważone na precyzyjnych wagach. Przy takiej ilości ludzi lepsze było to, niż ustawiczne kłótnie.

I tak nie obywało się bez zadrażnień. Każdy walczył o „swoją posiadłość", o koję, o miejsce przy stole i „kawałek" kuchni. Ale, czy możliwe byłoby, aby 25 kobiet ugotowało kolację między godziną 6-tą a 8.30 wieczorem na dwufajerkowej „kozie"? A ja widziałem w takiej sytuacji 25 mężczyzn. Przysięgam, że odbyło się to bez rozlewu krwi. Zresztą nawet jeśli wybuchła kłótnia, zawsze więcej w niej było humoru i dowcipu niż złości.

Pamiętam jak jeden z oficerów w starszym wieku był bardzo niezadowolony, że jego sąsiad z górnego łóżka wiesza na noc swoje inexprimable w taki sposób, że nogawice wiszą koło jego głowy.

— Ja z pana zrobię harcerza — po wiedział kiedyś wieczorem — jeżeli pan „tego" inaczej nie powiesi.

Tamten zbył milczeniem zagadkowe odezwanie się. Jakież było jego zdziwienie, kiedy rano zauważył że jego pantalony zostały w nocy równiutko obcięte z krańcem łóżka.

Wszyscy cieszyli się jak dzieci. Widok był pocieszny.

— Wie pan — odezwał się poszkodowany — a ja z pana zrobię lotnika...

— Jakto lotnika, przecież ja jestem z korpusu saperów — odpowiedział dowcipniś.

— To nic, ale jak pana kopnę, to pan w powietrzu z głodu umrzesz!

Koledzy jakoś uspokoili poważnionych i na szczęście obyło się bez „sprawy honorowej".

Te „sprawy honorowe" też warte są osobnego felietonu. Można było „umrzeć ze śmiechu", kiedy się obserwowało ich przebieg. Ponieważ sankcji nie było, poza przeproszeniem a pojedynki odbywać się nie mogły, to też często słyszało się rezolucję sądu honorowego zupełnie z nieprawdziwego zdarzenia. Kiedy już obie pary „smutnych" (tak nazywano świadków stron) naradziły się dostatecznie, starszy izby ogłaszał wyrok. Można było wówczas usłyszeć, że „ wzwiązku ze sprawą pana X z panem Y, podaje się do wiadomości panów kolegów; że pan X mówiąc do pana Y: "Mamcie tamcie gdzie mamcie" nie miał zamiaru go obrazić! I na tym sprawa zostaje umorzona".

Wolno tedy powstańcowi wyciągać te śmiesznostki życia obozowego, ale należy pamiętać, że każde środowisko dostarcza ich aż nadto. Prawda, że byli w obozie „dziwacy", którzy zbierali stare puszki od konserw. Prawda że było „staruszkowo", to znaczy część obozu, gdzie nikt się niczym nie zajmował poza brydżem i wspominaniem „swoich bojów nad Bzdurą" ...Ale w każdym społeczeństwie poziom jest nierówny.

Toteż my śmieliśmy się z nich, a oni z nas.

Uderzmy się w piersi! Ci, którzy przyszli byli jeszcze mniej zgrani, o bardziej jeszcze niewyrównanym poziomie. Sam słyszałem jak jeden z powstańców opowiadał o swych walkach na Starówce.

— „I wówczas, kiedy sytuacja była zupełnie beznadziejna porucznik „Jurand" celnie rzuconym granatem unieszkodliwił niemiecki czołg...

— Może to ten Jurand ze Spychowa — zapytał z głupia frant jeden z gefangenów.

— Wie pan, że nie wiem dokładnie — odpowiedział powstaniec — taka była konspiracja... Może on był i ze Spychowa...

* * *

Dziś kiedy czasy obozowe wspomina się jak zły sen, nie można oceniać tych ludzi jako nienormalnych.

Na pewno ten kolega, który interesował się wówczas drzewem, interesuje się teraz bardziej jakąś uroczą kobietą. Kolejność ważności spraw uległa zmianie i sądzę że ona najbardziej jest uprawniona do tego, aby powiedzieć, czy on jest „normalny". Toteż kiedy spotkacie gefangena, nie podchodźcie do niego jak do wariata. To jest zupełnie bezpieczny człowiek. Po prostu go raczej, żeby coś opowiedział o swym ciężkim życiu w niewoli. A są to rzeczy ciekawe. Nawet bardzo ciekawe.

STEFAN BAŁUK

ZIOŁA TO ZDROWIE

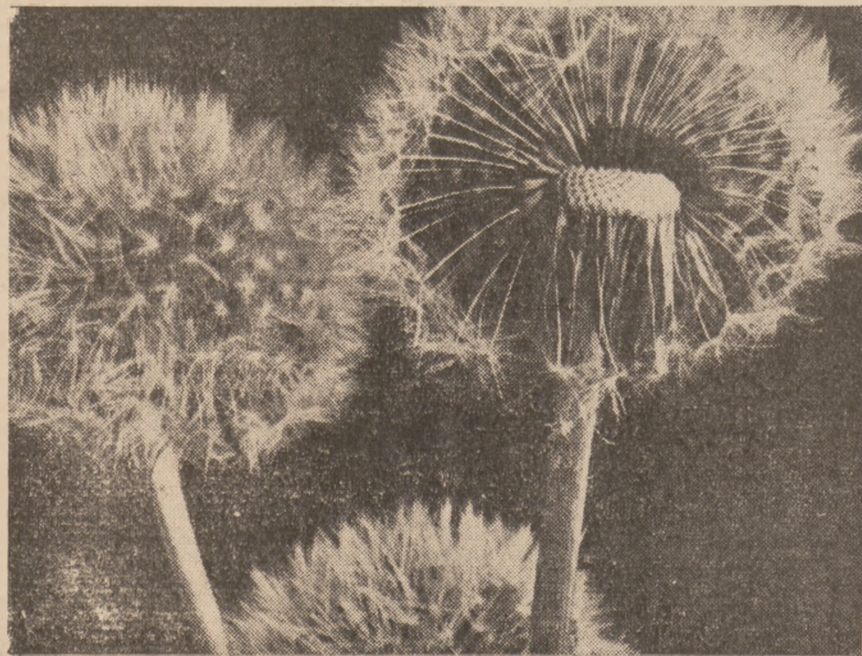
Jednym z dotkliwych braków, jakie odczuwamy w rezultacie wojny to niedostateczne zaopatrzenie w specyfiki lekarskie. Środki lecznicze stosowane u nas w głównej mierze przez medycynę i znajdujące się w handlu aptekarskim — to specyfiki syntetyczne sporządzane przez przemysł farmaceutyczny, głównie niemiecki. Obecnie brak ich na rynku, bowiem fabryki niemieckie już w czasie wojny zostały przestawione na produkcję wojenną, częściowo uległy zniszczeniu i nie dostarczają środków leczniczych do których przywykliśmy.

Brak środków leczniczych dotkliwy w swoich skutkach bezpośrednich może mieć jednak i odwrotną, pozytywną stronę medalu. Może pod wpływem konieczności zwrócimy się ku naturalnym źródłom zdrowia, ku lekarstwom dostarczanym przez samą przyrodę. Może przymusowa sytuacja zmusi nas do zainteresowania się ziołolecznictwem dotychczas bardzo u nas zaniedbanym.

Tu warto zwrócić uwagę, że Niemcy, będąc największym producentem syntetycznych środków farmaceutycznych same spożywały wielkie ilości ziół leczniczych. Konsumcja ziół leczniczych w Niemczech, podobnie jak i w innych krajach zachodniej Europy wyrażała się ilością 1 kg na głowę mieszkańca rocznie, podczas kiedy u nas dochodziła zaledwie do 90 gramów! Poza tym Niemcy wywozili rocznie 72 miliony kg ziół, mieli bowiem rozwiniętą ich uprawę ogrodową i plantacyjną i widzieli w tym poważną pozycję eksportową. Dodać należy, iż zioła spożywane być mogą nie tylko jako lekarstwa w wypadkach występujących już objawów chorobowych, ale również jako środek zapobiegawczy, podtrzymujący zdrowie i prawidłowe funkcjonowanie organów w postaci różnych sałatek, naparów, przypraw itp. Tak mała konsumcja ziół u nas przyczyniasię niewątpliwie do znacznego obniżenia zdrowotności narodu.

Częstokroć skłonni jesteśmy uważać zioła za jakieś środki czarnoksięskie przystojne znachorom i ich klijenteli. Mało wiemy o tym, że w szeregu krajów europejskich istnieją katedry ziołolecznictwa (fytoterapii), że leczenie ziołami jest szeroko stosowane przez lekarzy. Niewielu z nas wie o tym, że pospolity rdest ptasi to znakomity środek na wątrobę (znajdujący zresztą zastosowanie w produkcji cholekinazy), że naparstnica purpurowa (folia digitalis) to niezastąpione lekarstwo na serce, paproć samcza — najbardziej skuteczny lek na solitera, że kwiat lipowy zgotowany na mleku usuwa zmęczenie, szałwia leczy i odradza dziąsła, a poza tym podobnie jak kłącze tataraku leczy impotencję, pokrzywa pomaga na porost włosów, macierzanka uśmierza kaszel. Na polach i łąkach, w rowach przydrożnych rosną tysiące gatunków ziół — prawdziwe bogactwo zdrowia. Przed rolnikami otwierają się nowe możliwości plantacji i podniesienia dochodowości ich gospodarstw. Polska jest krajem wyjątkowo bogato wyposażonym w zioła. Wskutek specyficznych warunków klimatycznych i glebowych polskie zioła mają wyjątkową wartość i są poszukiwane na rynkach zagranicznych. Jako przykład można przytoczyć, że Chińczycy interesują się polskim rdestem, chociaż mają własny. Polska może być śmiało nazwana krainą ziół. Dlaczego sami tak mało korzystamy z posiadanego bogactwa? Spośród czynników gospodarczych i społecznych jedynie spółdzielczość zainteresowała się na szerszą skalę ziołami. „Społem" posiada na swych składach półtora milio na kg ziół w 350 gatunkach ogólnej wartości około ćwierć miliarda złotych. Posiadamy już zasoby z których można czerpać.

Pragnąc przyczynić się do rozpowszechnienia spożycia ziół jako środka leczniczego, zdrowotnego i zapobiegawczego, a tym samym — do podniesienia zdrowotności ogólnej otwieramy na łamach „Tygodnia" obszerny dział poradnictwa ziołowego, prowadzonego przez wybitnych specjalistów. Wskazówki dotyczące zarówno hodowli, jak i użycia ziół rozpoczniemy w następnym numerze.



Pospolity mlecz posiada również właściwości lecznicze o czym najlepiej wiedzą zwierzęta.

Praca gospodarcza od podstaw

Okręgowy Oddział Spożywczy „Społem" w Bydgoszczy (ul. Chodkiewicza 24) istnieje od połowy lutego 1945 r. W początkowej fazie swego istnienia Oddział posiadał tylko zasięg powiatowy. Dopiero w połowie sierpnia 1945 r. otrzymał uprawnienia Oddziału Okręgowego i objął działalnością obszar całego województwa Pomorskiego.

Oddział zaopatruje w towary wszystkie powiatowe placówki „Społem" w liczbie 18-tu oraz wszystkie spółdzielnie zarówno w samym mieście, jak i z terenu powiatu bydgoskiego. Spółdzielni tych (wszelkich typów) istnieje na obszarze miasta i powiatu 128, z czego 47 należy w charakterze członków do Związku Gospodarczego „Społem". Dalsze zgłoszenia Spółdzielni do Związku systematycznie napływają.

Sieć spółdzielni jest na ogół dostateczna. Wszystkie one pracują dobrze, a stosunek ich do Oddziału jest lojalny. W działalności swojej napotykają na duże trudności natury finansowej. Przyczyną tego jest powszechnie odczuwany brak kredytów, które — odpowiednio zwiększone — niewątpliwie przyniosłyby natychmiastową poprawę sytuacji. Kierownictwo Oddziału w trosce o ułatwienie spółdzielniom pracy, uruchomiło dostawę towarów wprost do ich magazynów, co poważnie obniża koszty transportu.

W początkowej fazie swojej działalności Oddział miał duże trudności. Na czoło tych trudności wysunęły się sprawy znalezienia odpowiednich pomieszczeń na biura i magazyny. Dziś te trudności zostały już pokonane. Magazyny pod względem pojemności są zupełnie wystarczające. Początkowe prace Oddziału, zgodnie z planem i zaleceniami władz państwowych obejmowały rozdział towarów przydziałowych (kartkowych) i dostaw „UNRRA". Nie mogło to sprzyjać rozwojowi działalności handlowej. Później jednak zmieniły się warunki. Oddział zmuszony został do zwiększenia ilości hurtowni w terenie przez utworzenie szeregu Składnic. Rozbudowany odpowiednio dział handlowy musiał pracować ze zdwojoną energią, by magazyny hurtowni powiatowych zapełnić towarami wolnorynkowymi i to w jak największych ilościach, albowiem chłonność rynku pomorskiego jest na ogół dość duża.

Nie zawsze się to udawało, bo np. i teraz odczuwa się brak pewnych artykułów przydziałowych: proszku do prania, sody krystalicznej, octu itp.

Omawiając działalność Oddziału, wspomnieć jeszcze należy, że w okresie dostaw „UNRRA", a później akcji „Care" — Okręgowy Oddział w Bydgoszczy prowadził składy konsygnacyjne tych towarów, które nadchodziły drogą wodną — przez Brdę. Towary te z Bydgoszczy rozprowadzane były na całą Polskę. Obecnie konsygnuje się towary importowane, które nadchodzą tą samą drogą.

Obroty Oddziału stale wzrastają, a 59 proc. ich, to tzw. „obroty szlachetne" ze spółdzielniami. Nisko skalkulowane ceny, przy minimalnej marży zarobkowej, powodują że w Okręgowym Oddziale w Bydgoszczy zaopatrują się w towary spółdzielnie z sąsiednich okręgów. W najbliższym czasie Oddział otworzy drugi punkt sprzedaży w „Domu Spółdzielczym" w Bydgoszczy, którego kapitalny remont dobiega końca.

W chwili obecnej Oddział zatrudnia 198 pracowników, którzy stanowią dobry zespół, a dokształcają się fachowo przez uczestniczenie w S.K.K. Przy Oddziale istnieje chór pracowniczy, a lada dzień powstanie świetlica z biblioteką. Kierownikiem Oddziału jest ob. Jan Wawrzykowski — weteran pracy spółdzielczej, której służy już przez 28 lat. (a.)

Oddział papierniczy
i materiałów piśmiennych „Społem" w Poznaniu

Początkowo przy Okręgowym Oddziale Spożywczym istniał referat papierniczy. Coraz żywsza jednak działalność handlowa skłoniła władze Okręgu do wyodrębnienia tego referatu w samodzielny Oddział Papierniczy i Materiałów Piśmiennych „Społem" w Poznaniu (tymczasowa siedziba, ul. Składowa 4). Stało się to faktem w dniu 21 lipca 1947 r. Od tego czasu mimo naprawdę trudnych warunków lokalowych, Oddział rozwija jednak swoją działalność, wyrazem czego są obroty, które wzrosły ostatnio prawie o 150%. Oddział prowadzi działy: papierniczy, materiałów piśmiennych, wykonuje akcje zlecone Ministerstwa Oświaty, oraz uczestniczy w akcji „przemysł dla wsi" w ramach branży papierniczej. W najbliższym czasie Oddział pozyska nowy lokal na biura, co umożliwi mu dalszy rozwój działalności. W chwili obecnej Oddział zatrudnia 35 pracowników.

O ściślejszą więź ze społeczeństwem
Osiągnięcia i cele spółdzielczości wielkopolskiej

Delegatura Zarządu Głównego „Społem" na Okręg Poznański (Poznań, ul. Armii Czerwonej 12), rozpoczęła działalność organizacyjną na terenie Okręgu w dniu 1 marca 1945 r., a gospodarczą — w trzy tygodnie później. 1 kwietnia tegoż roku powstała już pierwsza placówka handlowa Okręgu.

Zasięgiem swych prac Delegatura objęła 42 powiaty. Część ich wchodziła w skład dawnego woj. poznańskiego z 1939 r., część natomiast przyłączona jest z Ziemi Lubuskiej.

W wyniku wytężonej działalności organizacyjnej powołano do pracy w terenie 42 oddziały, względnie składnice powiatowe oraz 8 Okręgowych Oddziałów specjalnych, a mianowicie: Okręgowy Oddział Rolniczy, Okręgowy Oddział Mleczarsko - Jajczarski, Okręgowy Oddział Przemysłowo - Rolniczy, Okręgowy Oddział Zbożowo - Młynarski, Okręgowy Oddział Włókienniczy, Oddział Papierniczy i Materiałów Piśmiennych, Okręgowy Dział Produkcji i Okręgowy Dział Transportowy. Wszystkie te placówki istnieją po dzień dzisiejszy i pracują bardzo sprężyście, choć powstawały w trudnych warunkach na gruzach zniszczonych miast wielkopolskich.

Niezależnie od tego uruchomiono na terenie Okręgu 29 placówek produkcyjnych, które powstawały w miarę opuszczania terenów przez wojska. Według stanu na dzień 31 grudnia 1946 r. „Społem" prowadziło na terenie woj. poznańskiego: 21 młynów, 2 fabryki makaronu, 1 fabrykę środków odżywczych, 1 fabrykę marmelady, 2 kwaszarnie kapusty i ogórków, przy czym kwaszarnia w Zielonej Górze prowadzi również produkcję octu spirytusowego, 1 fabrykę wyrobów szczotkarskich oraz 1 przetwórnię puchu i pierza. Placówki te powstawały w ogólnie znanych warunkach powojennych powszechnego zniszczenia, aby je zatem uruchomić należało gruntownie wyremontować, a nawet — odbudować. Wszystkie te trudności zdołano pokonać. Fabryki pracują, stale powiększając swoją produkcję, która jakościowo również się podnosi. Troską Delegatury jest interes konsumenta, który powinien otrzymać wysokiej wartości produkty w dostatecznej ilości i po możliwie najniższej cenie. W tym też kierunku idzie nadzór organów Delegatury nad działalnością zakładów przemysłowych „Społem", istniejących na obszarze okręgu poznańskiego.

Wspomnieć jeszcze należy o ciężkich warunkach transportowych, z jakimi władze Okręgu borykać się musiały w momencie obejmowania terenów wyzwolonych spod władzy okupanta. Szybkie tempo obejmowania tych terenów wymagało sprawnej obsługi transportowej. Terminowość dostaw stawała się szczególnie ważna na terenie zniszczonym i wygłodzonym. Zdewastowane linie kolejowe nie docierały w tym okresie do wielu placówek „Społem". Mimo to zdołano przewieźć za pośrednictwem P.K.P. 1.253.736 ton towarów. Resztę trzeba było dowieźć nielicznym wówczas taborem samochodowym. Dużego nakładu sił, czasu i środków wymagało doprowadzenie do porządku taboru, który w chwili przejęcia znajdował się w okropnym stanie. Musiano we własnych warsztatach remontować wozy, które w stanie przydzielonym przez Min. Aprowizacji i Handlu nie nadawały się do użytku.

Nowe granice Polski włączyły w nasze władanie drogi wodne, jakich dostarcza nam dorzecze Odry. Doceniając znaczenie tych dróg dla usprawnienia i potanienia transportu, władze Okręgu zakupiły odpowiednią ilość barek, łodzi typu pontonowego i holowników.

Usilnym dążeniem naczelnych władz Okręgu, w osobach ob. delegata Ryszarda Andruszkiewicza i jego zastępcy ob. Józefa Grzelaczyka, jest podciągnięcie w najbliższej przyszłości sprawności organizacyjnej placówek „Społem" do jeszcze wyższego poziomu oraz stworzenie ściślejszej więzi pomiędzy tymi placówkami z jednej strony, a spółdzielniami wszystkich typów i społeczeństwem — z drugiej. Do tego konieczna jest jednak lojalna i bezstronna współpraca całego miejscowego społeczeństwa.

NOWY KONKURS „TYGODNIA"

„Parasol noś i przy pogodzie".

Stara to maksyma chińska, która przyjęła się u nas od dawna jako przysłowie, niejednokrotnie używane w okresie letnim. Tak też orzekło 312 osób, które rozwiązały zagadkę 20 w konkursie na ilustrowane przysłowia ludowe, 96 osób odgadło błędnie rysunek podając, że oznacza on: „Lepiej z sobą nosić, niż później prosić", „Choć gorące słońce, bierz z sobą opończę", „Deszcz ranny jak płacz panny", „Po deszczu jak po wojnie", „Kto raz sparzył się na gorącym, ten dmucha na zimno", „Po deszczu zaświeciło słońce", „Każdy dudek ma swój czubek", „Lepiej dźwigać niż ścigać", „Potrzebnyś jak parasol w słoneczny dzień" itp.

W drodze losowania otrzymali:

NAGRODY KSIĄŻKOWE

Stasilowicz Zbigniew — Bydgoszcz, ul. Jackowskiego 25-3.

„Stary Szaradzista" — Dąbrowa Górnicza skr. poczt. 237 (prosimy o personalia).

Firmhofer Mieczysław — Dąbrówka Mała (Śląsk) ul. Jerzego 1.

Maziarz Józef — Ozorków ul. Zagajnikowa 35 pow. Łęczyca.

Czyżkowska Zofia — Mińsk Mazowiecki ul. Spółdzielcza 7a Oddział „Społem".

PRENUMERATĘ KWARTALNĄ „TYGODNIA"

Kraszewski Lech — Koło ul. św. Bogumiła 23-4.

Bogucka Natalia — Łódź ul. Dąbrowskiego 31-11.

Sośnierz Bolesław — Zawiercie, ul. Szeroka 18.

Butkowski Jan — Olecko ul. Kolejowa 7 woj. białostockie.

Bruksza Jan — Lidzbark Warmiński, ul. Kościuszki 8.

Osikowa Henryka — Zalesie p. Rzeszów.

Drzewiński Adam — Warszawa-Grochów, ul. Ostrobramska 94.

Witkowska Jadwiga — Wólka Zamkowa, poczta Drohiczyn n|Bugiem.

Mazanek Stanisława — Kraków, ul. Morawskiego 12.

Kramczyńska Halina — Radom, ul. Piotrówka 5.



Dziś podajemy zagadkę Nr. 23, za rozwiązanie, której przeznaczamy do rozlosowania:

5 NAGRÓD KSIĄŻKOWYCH

oraz

10 NAGRÓD PRENUMERATA KWARTALNA „TYGODNIA"

Termin nadsyłania odpowiedzi upływa 18 stycznia b. r.

Poniżej podajemy dalszy ciąg nagrodzonych za rozwiązanie zagadki 19:

Andrzej Oświeciński — Radość, koło Warszawy, ul. Sobieskiego Nr 2-8.

Jerzy Jakobs — Lublin, pow. Toruń.

Maria Kapuśniak — Siemięszyce Kroczyce, pow. Olkusz.

Lucjan Bibiński — Krzyszyn, ul. Goniądzka 54, pow. Białystok.

Zbigniew Sosulski — Będzien, ul. Małachowskiego 16.

Anna Nachtman — Wołomin, ul. Warszawska 22 - 4.

S. Jackowski — Oporów koło Wrocławia, ul. Wrocławska 40.

Walerian Falkowski — Poznań, ul. Przybyszewskiego 23-3.

Anna Rzeszotkówną — Kraków, ul. Zamenhofa 7. fabr. W. Stefanus.

Barbara Domagała — Ostrowiec Kielecki, ul. Zytnia 20.

Wszystkie nagrody wysłane zostaną pocztą.

KARNAWAŁOWY KONKURS

NA ROZRYWKI UMYSŁOWE

W dzisiejszym numerze rozpoczynamy nowy „Karnawałowy Konkurs" na rozrywki umysłowe, który trwać będzie do dnia 8 lutego br. i w którym podamy najbardziej urozmaicone typy zadań. Za rozwiązanie każdego przyznane będą trzy punkty. Suma najwięcej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. Pomiędzy zwycięzców konkursu rozlosowanych zostanie 10 nagród książkowych, a pomiędzy pozostałych, którzy odgadną przynajmniej jedno zadanie — 10 nagród pocieszenia (również książkowych).

Termin nadsyłania odpowiedzi upływa dnia 22 lutego br.

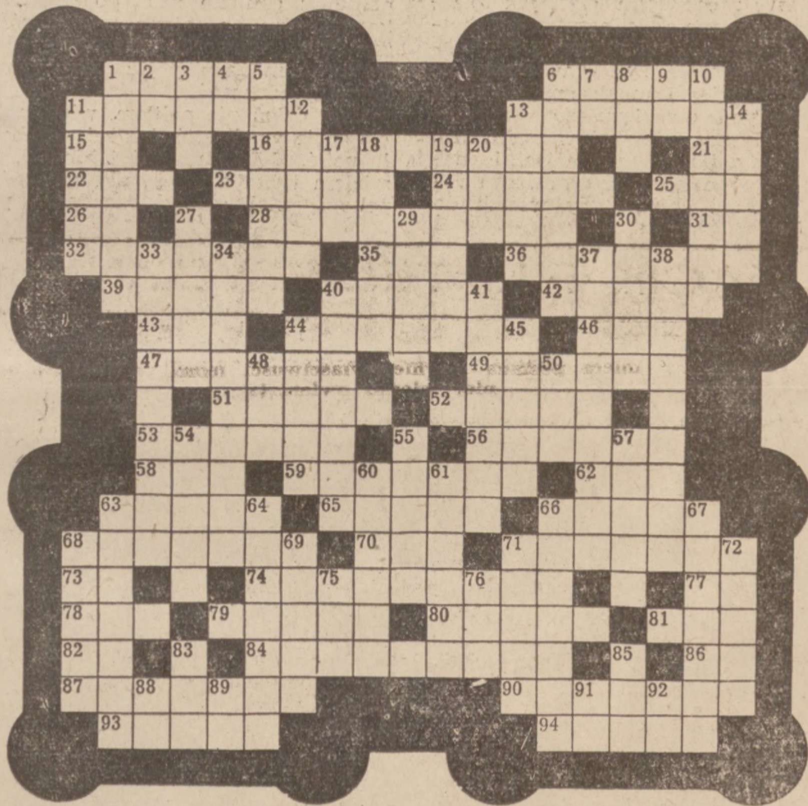
Za trzy najlepsze zadania wytypowane przez czytelników przyznane będą trzy nagrody autorskie.

Prosimy o nadsyłanie ciekawych zadań oraz projektów nowych konkursów.

KRZYŻÓWKA

Znaczenie wyrazów poziomych:

1. Pora dnia. 6. Znana szwajcarska marka zegarków. 11. Władza kalifa. 13. Wieżyczka na meczecie. 15. Miara powierzchni. 16. Zbiór przepisów obowiązujących członków jakiejś instytucji. 21. Symbol pierwiastka chem. 22. Wada oczu. 23. Tytuł szlachecki. 24. Opera Masseneta. 25. Mocna wódka zbożowa. 26. Pierwszy stopień gamy. 28. Składowa część przyrządów spektralnych. 31. Litera grecka. 32. Uzdrowiciel. 35. Oprawca. 36. Bohater opery „Aida". 39. Kraj w Afryce. 40. Miasto w województwie rzeszowskim. 42. Rodzaj głosu męskiego. 43. Rzeka w Niemczech. 44. Stary doświadczony żołnierz. 46. Cyrk lodowcowy. 47. Wzorzec, prototyp. 49. Skromność, skrucha. 51. Członek szczepu mongolskiego. 52. Siła, żywotność. 53. Zapach, woń. 56. Narzędzia kuchenne do rąbania. 58. Pierwiastek chem. 59. Mianowany na urząd. 62. Bóg egipski. 63. Rzeczka górska. 65. Pięcioksiąg Mojżesza. 66. Zatyczka do butelek. 68. Współzawodnictwo. 70. Pisarz polski XVI w. 71. Starożytna wioska w Grecji, sławna ze zwycięstwa nad Persami. 73. Lewy dopływ Kamy. 74. Członek kościoła ewangelickiego. 77. Chińska miara wagi. 78. Roślina ozdobna z rodziny krzyżowych. 79. Wódka kminkówka. 80. Moneta serbska. 81. Mędrzec i astrolog u starożytnych Persów. 82. Jednostka miary oporu elektr. 84. Przyrząd do wytwarzania gazu lub pary. 86. Spółgłoska fonet. 87. Lilia wodna. 90. Sygnał optyczny na kolejach. 93. Opust. 94. Znawca gatunków win.

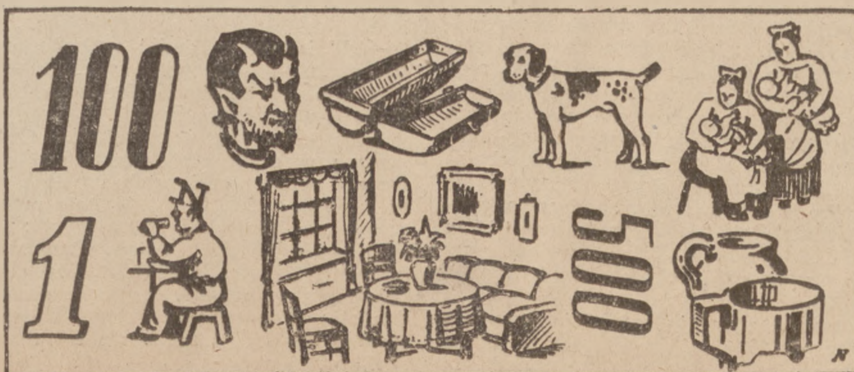


Znaczenie wyrazów pionowych:

1. Rzadkość, osobliwość. 2. Symbol pierwiastka chem. 3. Rzeka w półn. Afryce. 4. Spółgłoska fonet. 5. Karaluch. 6. Prawo najmłodszego z braci do dziedzictwa. 7. Zaimek osobowy. 8. Prawy dopływ Wisły. 9. Spółgłoska fonet. 10. Zwierzę z rodziny jeleni. 11. Przypadek, traf. 12. Postrach. 13. Rodzaj tonacji w muzyce. 14. Gra sportowa. 17. Termin sportowy. 18. Nadzwyczajna rzadkość. 19. Miłośnik. 20. Termin szachowy. 27. Uczeń szkoły wojskowej. 29. Ujeżdżalnia. 30. Wyborowy cukier trzcinowy. 33. Maszynka do numerowania. 34. Badacz śmierci. 37. Artysta, zajmujący się wykonywaniem dekoracji. 38. Średniowieczna sztuka teatralna. 40. Członek senatu. 41. Majątek ruchomy. 44. Bóg germański. 45. Odnoga Wisły. 48. Powieściopisarz polski XIX w. 50. Ptak wróblowaty. 54. Furman, wolarz. 55. Przywódca partii. 57. Paciorek koralowy. 60. Drzewa owocowe z rodziny śliw. 61. Nimfa wodna grecka. 63. Skład rzeczy lub bagaży. 64. Powinowaty. 66. Żółtopióry ptak śpiewający. 67. Opiekun i dobrodziej kościoła. 68. Wieża, ozdabiająca wejście świątyń egipskich. 69. Inaczej liczba. 71. Bajeczny król Krety. 72. Rzeka w Afryce. 75. Zaimek wskazujący. 76. Ćwiek metalowy. 83. Bryła geometryczna. 85. Inaczej przylądek. 88. Przyimek. 89. Nuta. 91. Nuta. 92. Symbol pierwiastka chem.

ul. Erazm Grójnacki

REBUS UKŁADU R. MIAŁKOWSKIEGO



Odpowiedzi Redakcji

P. Witold Kołajtis — Ostróda Mazury, ul. Olsztyńska 1. „Społem" — zapytuje czy „Tydzień" nie przystępuje do Klubu Dobrej Książki? Na ten temat prosimy przeczytać odpowiednią notatkę w Kronice Kulturalnej. Porusza Pan również sprawę premii książkowych i przypomina, że niegdyś „Biesiada Literacka" dawała swym stałym prenumeratorom 24, a „Niwa" 52 tomy rocznie. Niestety koszty druku i papieru są dziś tak wysokie, że tygodnik wg. cen przedwojennych powinien kosztować przynajmniej 50 zł. (przed wojną 50 gr.). Nie mniej weźmiemy to zagadnienie pod uwagę. Za nadesłane życzenia dziękujemy.

P. Józef Baranowski — Poznań, ul. Graniczna 15 — 11. Wiersz „W noc grudniową" otrzymaliśmy za późno; inne przy okazji wykorzystamy.

P. Eugeniusz Zakrzewski — poczta Sypniewo k. Ostrołęki. Prosimy o podanie nazwiska autora podręcznika „Fizyki", po otrzymaniu danych prześlemy Panu żądaną książkę. Za życzenia dziękujemy.

P. Włodzimierz Dąb — Miechów, ul. Daszyńskiego 10. pisze: „bardzo podoba mi się „Tydzień". Do nas przybywa w sobotę, toteż każdej soboty czekamy z niecierpliwością na świeży numer „Tygodnia". Lubię to czasopismo i czytam je najchętniej ze wszystkich innych, a ponadto lubię ogromnie rozwiązywać ilustrowane zagadki i inne rozrywki umysłowe". Za życzenia dziękujemy i gratulujemy nagrody.

LISTA NAGRODZONYCH w VI konkursie na rozrywki umysłowe

Poniżej podajemy nazwiska 25 osób, którzy zdobyli największą ilość punktów w VI konkursie naszych rozrywek umysłowych i otrzymali nagrody książkowe. W nawiasach podajemy ilość zdobytych punktów. Przyznane nagrody książkowe wysyłamy pocztą:

Grójnacki Erazm — Warszawa, ul. Mickiewicza 27 m 128 (69). Nowakowski Alfred — Warszawa-Praga, ul. Wileńska 13 (69). Adamczak Antoni — Białogard, ul. Świdwińska 30 m. 15 (66). Dziewanowska B. — Otwock, skrz. poczt. 21 (66). Góralczyk Jan — Kurdwanów, poczta Łagiewniki Krakowskie (66). Krauzowicz Kazimierz — Swoszowice k. Krakowa (66). Krawczykówna Lucyna — Kraków, ul. Sienkiewicza 8 m 11 (66). Lubnar Władysław — Zgierz, ul. Szczęśliwa 1 (66). Płaksa Sz. — Wołomin, ul. Nałkowskiego 17 m. 2 (66). Rutkowski Julian — Kraków, Okr. Dyrekcja Poczt i Telegrafów (66). Rzeszotkówna Anna — Kraków, ul. Zamenhofa 7 (66). Świderski Edmund — Łódź, ul. Abramowskiego 1 m. 3 (66). Janaszkiewicz Helena — Łódź, ul. Wójtowska 20 (63). Janowski Ignacy — Łódź, ul. Piotrkowska 25 m. 47 (63). Ratusiński Czesław — Kraków, ul. Piłsudskiego 6 m. 16 (63). Jasiński Ludwik — Łódź, ul. Narutowicza 31 (63). Salm Andrzej — Łódź, ul. Mostowa 5a (63). Salm Irena — Łódź, ul. Mostowa 5a (63). Surowcew Jerzy — Wołomin, ul. Nałkowskiego 17 (63). Borysow Witold — Wrocław, ul. Dąbrowskiego 46 „Społem" (60). Grabowska Zofia — Myślibórz „Społem" (60). Janiewicz Janusz — Sosnowiec, ul. Żymierskiego 48 m. 6 (60). Kubiczek Tadeusz — Świętochłowice kopalnia Polska (60). Turek Jan — Kraków, ul. Grzegórzecka 8 m. 5 (60). Zalewska Wanda — Warszawa, ul. Białołęcka 27 m. 5 (60).

Na podstawie nadesłanych kuponów nagrody autorskie otrzymali:

1. Nowakowski Alfred za ciągówkę podwójną.

2. Grójnacki Erazm za wiązankę.

3. Wołoszyńska W. za rebus.

Unifikacja Spółdzielczości Rolniczej w Lubelskim
Osiągnięcia Delegatury Zarządu Głównego „Społem" w Lublinie

Lubelszczyzna jest najbardziej bodaj uspołecznionym i uspółdzielczonym terenem Polski. Istnieje tu po dzień dzisiejszy szereg starych spółdzielni, które powstały jeszcze na początku bieżącego stulecia. „Społem" posiadało na tym terenie swoją placówkę handlową w postaci Oddziału już w 1917 roku. Oddział ten przetrwał czasy obecnej wojny i okupacji hitlerowskiej, a pracownicy jego mimo nacisku ze strony niemieckiego komisarza, przeważnie jednak pozostali na miejscu, aż do czasu wyzwolenia Lublina. Toteż przerwy w pracy Oddziału prawie nie było.

Zrodziły się jednak nowe zadania. Lublin stał się stolicą odradzającej się Polski, której duże jeszcze obszary pozostawały pod władzą okupanta. Chwila wyzwolenia całej Polski zbliżała się. Należało rozpocząć prace nad zorganizowaniem spółdzielni w skali ogólnopolskiej.

Zwołano I Ogólnopolski Kongres Spółdzielczy, który odbył się w dniach 25 i 26 listopada 1944 roku i zaczęto się krzątać około zorganizowania Centrali „Społem" w Lublinie. W gorączkowych tych pracach wydatny udział brali ob. ob: Stawiarski, Wolczyński i Nowicki Pałemon — obecny Delegat Zarządu Głównego „Społem" na okręg lubelski.

Kongres Lubelski zunifikował polską spółdzielczość, opracował i uchwalił nowe jej organizacyjne formy, w których mogła się rozwijać i działać, by sprostać przyjętym na siebie obowiązkom. Powołano Zarząd Główny „Społem". Ob. Nowicki został członkiem Zarządu, pełniącym funkcję sekretarza, a obok tego był szefem personalnym Centrali.

Równocześnie organizowano Okręg Lubelski. Szefem tego Okręgu został ob. Nowicki, który był pierwszym delegatem Zarządu Głównego „Społem" w Polsce Odrodzonej. Zastępcą delegata jest ob. Migdał Zygmunt.

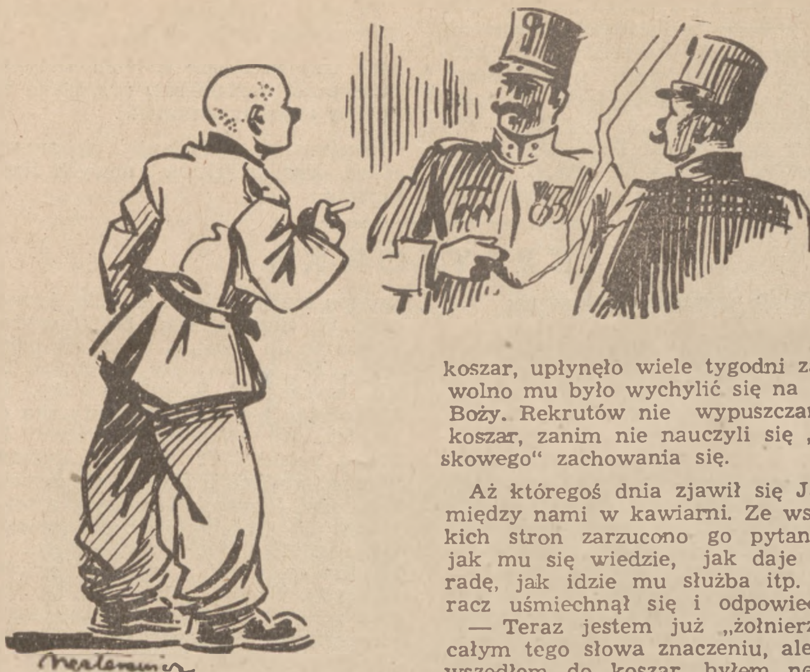
Obecnie na terenie podległym Delegaturze „Społem" w Lublinie (ul. Bernardyńska 9) istnieje: 7 Okręgowych Oddziałów specjalnych, 16 oddziałów powiatowych i 1 składnica w Międzyrzeczu. W najbliższym czasie zorganizowana będzie druga składnica w Opolu. Ponadto na terenie Okręgu istnieją 4-y zakłady produkcyjne „Społem", a mianowicie: Fabryka Przetworów Owocowo - Warzywnych w Milejowie, Suszarnia Cykorii w Lublinie. Zakłady Przemysłu Drzewnego w Białej Podlaskiej oraz Kwaszarnia Kapusty i Ogórków w Terespolu n. Bugiem, w której w najbliższej przyszłości uruchomiona zostanie produkcja konserw mięsnych.

Delegatura pracuje obecnie nad zorganizowaniem rynku owocarsko-warzywniczego. Realizacja tego projektu nastąpi w roku 1948, kiedy wybudowana zostanie przechowalnia owoców.

Charakter Okręgu jest wybitnie rolniczy. Sieć spółdzielni jest silnie zagęszczona. W Okręgu istnieje 1733 spółdzielnie, z których 1520 jest czynnych i aktywnych. Ostatnie wybory do rad oddziałowych w powiatach i w okręgu dały reprezentację całego dosłownie miejscowego społeczeństwa. Obecnie odbywają się w Okręgu zebrania unifikacyjne, których celem jest łączenie spółdzielni wiejskich.

Przy delegaturze istnieją Koła Polityczne trzech stronnictw: PPS, PPR i SL. Pracownicy „Społem" biorą żywy udział w życiu społecznym i kulturalno - oświatowym. (a.)

ANEGDOTY O JARACZU
ZEMSTA



Stefan Jaracz, odbywał służbę wojskową w armii austriackiej jako szeregowiec z cenzusem, czyli jak to się wtedy nazywało jednoroczny ochotnik. Zamożni „jednoroczniacy" mieszkali prywatnie, żyli prawie na stopie oficerskiej i mogli omijać wiele postanowień obowiązującego regulaminu. Jaracz mieszkał w koszarach, jak każdy inny szeregowiec, i musiał ulegać całemu koszarowemu reżimowi. Od chwili, gdy wszedł do koszar, upłynęło wiele tygodni zanim wolno mu było wychylić się na świat Boży. Rekrutów nie wypuszczano z koszar, zanim nie nauczyli się „wojskowego" zachowania się.

Aż któregoś dnia zjawił się Jaracz między nami w kawiarni. Ze wszystkich stron zarzucono go pytaniami, jak mu się wiedzie, jak daje sobie radę, jak idzie mu służba itp. Jaracz uśmiechnął się i odpowiedział:

— Teraz jestem już „żołnierz" w całym tego słowa znaczeniu, ale gdy wszedłem do koszar, byłem nędzną cywilbandą i zachowałem się jak cywil. Było to pierwszego dnia mojej cesarsko - królewskiej służby. Od wczesnego ranka do 5 godziny po południu ganiano nas po podwórzu koszarowym, wpajano w nas różne zasady wojskowości. Wreszcie byłem wolny, i mogłem pójść do cymry (pokoju) odpocząć.

Cały dzień nie paliłem, więc możecie sobie wyobrazić, jak mi się chciało palić. Miałem tytoń i bibułki, nie miałem tylko zapałek, ale na środku pokoju stał cymerkomendant pan kapral, rozmawiał z drugim podoficerem i palił virginia (długie cienkie cygaro, przetykane słomką). Skręciłem więc sobie papierosa i podszedłem do kaprala z prośbą o ogień, — czego w wojsku nigdy nie wolno żądać od starszej szarży.

Kapral spojrzał na mnie z góry, zmierzył parę razy od stóp do głów, odwrócił się odemnie i podając przez ramię cygaro, odezwał się do swego towarzysza: Byle kto już teraz prosi człowieka o ogień...

Roześmieliśmy się wszyscy głośno i nie wspominałbym dziś o tym, gdyby nie to, że sprawa miała zabawny ciąg dalszy.

Po pół roku Jaracz, jako predestynowany na oficera jednoroczny ochotnik był już podoficerem i stosownie do zwyczajów panujących w armii austriackiej był z wspomnianym kapralem „na ty". Do rezerwy przechodził jednoroczny ochotnik w randze chorążego czyli, jak to się wtedy nazywało kadeta — zastępcy oficera. Właśnie zakończyły się doroczne jesienne manewry. Dziś rano Jaracz został mianowany kadetem, pojutrze rano zgłosi się do komendy korpusu w Krakowie, odbierze papiery i będzie już cywilem.

Pułk Jaracza w drodze do Krakowa przybył do Bochni, gdzie miał przenocować. W owych czasach przybycie do małego miasteczka galicyjskiego całego pułku piechoty, w dodatku z orkiestrą było niezwykłą sensacją. Całe miasto wyległo na rynek, gdy orkiestra dała tam koncert, a żołnierze na wyścigi robili znajomości z przedstawicielkami płci pięknej. I Jaracz spacerował po rynku.

Wtem — opowiadał nam później — spotkałem owego kaprala, teraz już sierżanta, idącego z dziewczyną pod rękę. Wczoraj byłem z nim na ty, ale dziś ja byłem już oficerem i stosunek zależności się zmienił. Przypomniałem sobie całą scenę z prośbą o ogień i postanowiłem mu dać nauczkę. On, mijając mnie, zamiast salutować, powiedział tylko niedbale: Servus Jaracz!

A wtedy ja groźnie: Zugsführer herstellt, czy zugsführer nie wie, jak się oddaje cześć oficerowi. Stał blady z ręką przy czapce i oczywiście nie wiedział, co odpowiedzieć. Tymczasem w jednej chwili zrobiło się wokół nas zbiegowisko. Wygłosiłem jeszcze kilka słów nagany, a potem za karę kazałem przed sobą trzy razy przedefilować paradnym krokiem z ręką u czapki.

Dla zawodowego podoficera była to kompromitacja, wśród kolegów na oczach których to się działo. To było dobre dla rekruta, nie dla zawodowca — toteż śmiechy i kpinki nie miały końca. A ja sam ledwie mogłem powstrzymać się od śmiechu.

Z.

KĄCIK FILATELISTYCZNY

Niezbyt udana dziesięciozłotowa wartość naszej serii kulturalnej przypomniała mi, że nie jesteśmy pierwszym państwem, które na znaczku uczciło pamięć wielkiej Polki — Marii Curie - Skłodowskiej. Przed nami uczyniło to — o ile mi wiadomo — pięć państw: Francja, Kuba, Monaco, Panama i Turcja. Z dzisiejszej naszej reprodukcji wynika, że prawie wszystkie uczyniły to od nas o wiele udatniej. Na marginesie warto jeszcze wspomnieć, że jedynie Turcja umieściła na znaczku tylko podobiznę „Madame Curie" (bez męża), podając i jej polskie nazwisko.

* *

W numerze 48 (72) „Tygodnia" podałem szczegóły ankiety, którą z ramienia czeskiego ministerstwa poczt rozpisał dwutygodnik „Ceskoslovenska Filatelie". Szeroko umotywowanych odpowiedzi pismo to otrzymało dość dużo, bo aż 1644. Dla przypomnienia powtórzę, że ankieta zawierała cztery pytania: 1) Ile wartości ma być wydawanych w jednej serii? 2) Jakie nominały, są najwytworniejsze? 3) Jaki powinien być format znaczków? 4) Co myślisz o czeskich znaczkach?

Największe poruszenie wywołało pytanie czwarte. Nic dziwnego, malkontentów nie brak i w Czechosłowacji, choć znaczki jej o wiele przewyższają nasze wydanie. Tym punktem ankiety nie będę się szerzej zajmować, gdyż dotyczy on specyficznych warunków czeskich. To samo można powiedzieć i o pytaniu drugim.

Nas najwięcej interesuje wynik, jaki dała ankieta odnośnie pytań pierwszego i trzeciego.

Otóż, co do ilości znaczków w jednej serii, zdania były dość podzielone, ale w każdym bądź razie najwięcej, bo prawie 39 procent, opowiedziało się za dwoma wartościami. Szczegółowo wyniki wyglądają następująco: 17,8% uczestników chciało, by z każdej okazji ukazywał się tylko jeden znaczek, za dwoma opowiedziało się 38,7%, za trzema 34,5%, za czterema — 5,5%, więcej, niż cztery znaczki chciało mieć w serii 3.5%.

Za to zupełnie wyraźnie wypadła odpowiedź na pytanie trzecie. Przeszło połowa, bo 54%, opowiedziała się za dużym formatem (23x30 mm), 38% za średnim (19x23 mm) i 8% za małym (17,5x21,5 mm).

Są to wyniki dosyć ciekawe i przypuszczam, że i my moglibyśmy wyciągnąć odpowiednie wnioski odnośnie naszych znaczków.

Witold J. Orłowski.



JESTEM SZPIEGIEM

(Dokończenie z numeru 52)

— Czy pamięta pan żandarma — zapytał — który przyszedł do sali sterowej? Oznajmił mi on prosto z mostu: — „Człowiek z którym pan po szkole spaceruje, jest szpiegiem. Mam rozkaz natychmiast go aresztować!" Wszelkie perswazje pozostały bez skutku. Dopiero, gdy mu oświadczyłem, że biorę szpiega na własną odpowiedzialność, udobruchał się jakoś i odszedł. Ale nie dał się przekonać. Do dziś dnia wierzy, że się pomyliłem.

— W istocie — dodał w końcu ze śmiechem — nie wiele brakowało, aby z objęć Scotland Yardu musieli pana wyrywać dyplomaci!

Wieczorem goście odjechali. Cała sprawa rozpłynęła się wkrótce w powodzi spraw życiowych i poszła w niepamięć. Najdłużej jednak przetrwał po niej mój przydomek: — szpieg. Na długie miesiące przylgnął do mnie. Zwłaszcza angielskiemu oficerowi łącznikowemu przypadł on widocznie do gustu, bo ilekroć wyjeżdżałem na ląd, zawsze żegnał mnie słowami:

— Przyjemnego szpiegowania!

Z czasem, starzy oficerowie poodchodzili z okrętu. Ich miejsce zajęli nowi, nieżyczi jeszcze z atmosferą mesy. W ten sposób, stopniowo, „szpieg" wreszcie wyszedł z obiegu. Nie wszystko jednak z opisanej przygody zniknęło bez śladu. Dla mnie, pozostała po niej przynajmniej jedna pozytywna zdobycz: — nowa postawa wobec aparatu fotograficznego. Wychodząc na ląd, wolałem go zostawić zawsze w kabinie, na okręcie. Jeżeli już koniecznie musiałem go ze sobą zabierać, robiłem to w sposób najbardziej ostentacyjny, nosząc go na samym wierzchu i bez futerału, aby swym niemieckim napisem z daleka kłuł w oczy.

I nigdy więcej nie bawiłem się już w Anglika. Odtąd, ilekroć spotykałem nieznanego Brytyjczyka, zawsze swą pierwszą z nim rozmowę zaczynałem od słów:

— A bo ja jestem cudzoziemcem...

Józef Bartosik







NA URLOPIE
W GÓRACH

Fot. górna: „Życie jest piekielnie piękne!" — wykrzykuje na góry i lasy promienne dziewczę. Darujmy panience ten jej pełen wdzięku pensjonarsko - stylistyczny nonsens. Gdy się ma lat 16, własne— otrzymane na Gwiazdkę narty i jeszcze parę dni wolnych od „zmory algebry" — można być naprawdę piekielne szczęśliwą!...

Fot. z lewej: Bardzo modna, jednak zdecydowanie prosta, a nawet surowa w linii sukienka z grubego samodziału. Świetnie nadaje się w górach do kibicowania przy sportach zimowych. Warto zwrócić uwagę i na inne szczegóły tego oryginalnego kompletu, wyjątkowo praktycznego i w naszych warunkach. („Le monde illustré")

Fot. z prawej: W dziedzinie strojów narciarskich paryska „rewolucja" modniarska milczy, bo zresztą niełatwo by było namówić narciarki do jazdy w długich po kostki, lamowanych futrem, obszernych salopach... Komplety narciarskie (oczywiście dla narciarek z prawdziwego zdarzenia) są w dalszym ciągu logiczne — bezpretensjonalne, proste i niekrępujące ruchów. Cały ich wdzięk zależy przede wszystkim od umiejętnego kolorystycznego rozwiązania szczegółów i estetycznego skompletowania całości. („Le monde illustré")

Główka z lewej: Bardzo obecnie modny i praktyczny wełniany „szalik na głowę", który można zupełnie dowolnie układać, dostosowując „zawoje" do typu urody. („Elle")



Główki z prawej: Miłe i twarzowe bereciki dla „pań po czternastce" („The American Girl")

U dołu z lewej: Szary, własnej roboty sweterek pięknie komponuje się z pepitową samodziałową spódniczką. („Harper's Bazaar")

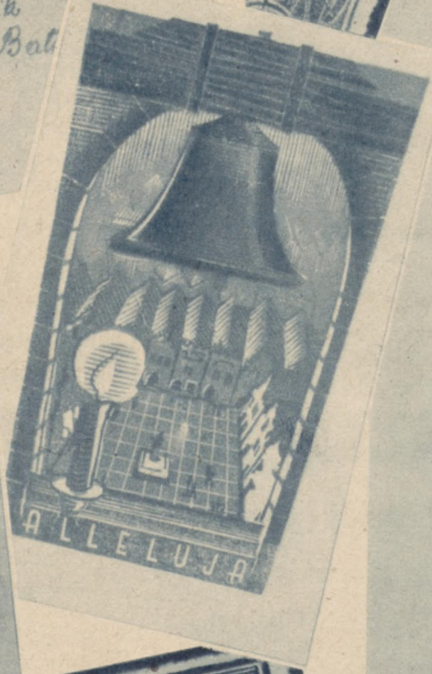






Każdą górkę pod miastem można wykorzystać jako tereny narciarskie dla naszej młodzieży.
(Fot. USIS)





Oficerskie obozy jeńców miały własną pocztę wewnętrzną, katalogowane znaczki, pocztówki i własne pieniądze, wykonywane przez artystów — oficerów techniką drzeworytniczą. Dochód ze wszystkich imprez obozowych przekazywany był z reguły na wdowy i sieroty po poległych uczestnikach kampanii 1939 roku












BANK OBOZU IID
SERJA A
50 GROSZY 50
PRAWNY ŚRODEK PŁATNICZY W OBOZIE II D
16·X·44
ZARZĄD


SERJA A BANK OBOZU II D
10 groszy
ZARZĄD
PRAWNY ŚRODEK PŁATNICZY W OBOZIE II D
16 X 1944











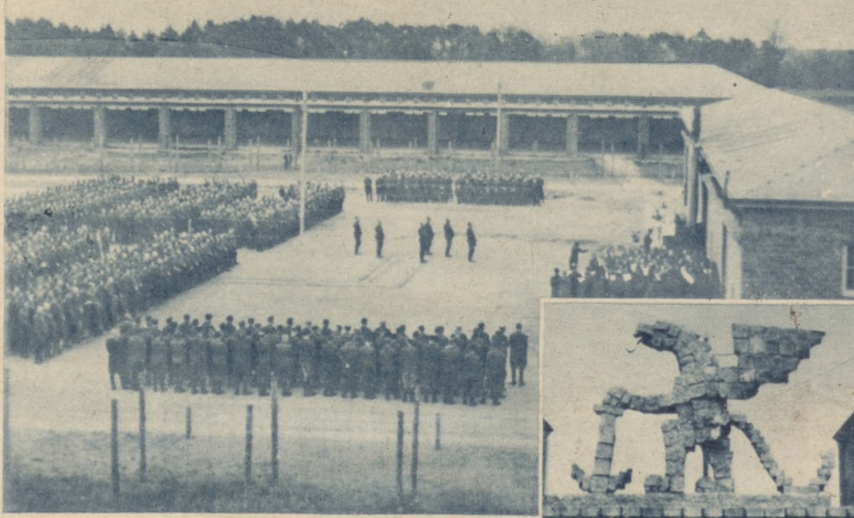








ZA DRUTAMI!


Msza polowa za drutami obozu jeńców wojennych

Mur obozu na terenie Pomorza ozdobili jeńcy Gryfem na znak polskości tej ziemi


Któżby się domyślił — że piękne kobiety na scenie teatru jenieckiego — to młodzi podporucznicy, że fraki sporządzone są z worka, a nowoczesne mebelki z desek od skrzyń i tektury z paczek?



Marzenia jeńców o podróży dokądkolwiek realizują się na scenie teatru obozowego


Powszedni wieczór w baraku oficerów - jeńców. Takich wieczorów przeżyli jeńcy ponad dwa tysiące

TYDZIEŃ

WYDAWCA: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień". Redaguje: Zespół redakcyjny. Adres Redakcji: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8. Redaktor przyjmuje w czwartki, piątki i soboty od 11 — 13. TELEFONY: Redakcji — 86-164, Administracji — 88-715. Redakcja rękopisów nie zwraca. Prenumerata miesięczna 75 zł, półroczna 450 zł. roczna 900 zł. Konto PKO Warszawa Nr I.-4766. Konto czekowe w Banku Gospodarstwa Spółdzielczego, Oddz. Wojewódzki Warszawa Nr 107. Ogłoszenia za 1 mm wysokości na szerokość 1 szpalty — 120 zł. W kolorze — 50 proc. drożej.
RSW „PRASA", Z. G. W-wa, Smolna 12, druk okładki wykonały Zakłady Wklęsłodruk -RSW „PRASA", W-wa